Nr. 10. Kraków, 15 Maja 1892 r. Rok II.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny i Dodatek polityczno-ekonomiczny.

REFORMA PODATKÓW BEZPOŚREDNICH
w Austro-Węgrzech
W ŚWIETLE KRYTYKI SOCYALNEJ.

Partya, dążąca do reform socyalnych nie bez słuszności chlubi się tem, że działalnością swą wywołała — spotęgowanie się poczucia powszechnej sprawiedliwości *in capite et in membris* dzisiejszego społeczeństwa. Tyle nadużyć wydobyto na wierzch, w tak jaskrawych barwach pokazano je światu, iż nikt już obecnie nie wątpi, że zło jest i że należałoby je usunąć. Wszyscy, nawet i ci, co nowości boją się dla własnych egoistycznych celów, nauczyli się już szanować przynajmniej dążenia reformatorów. Jestto ważny krok na drodze moralności społecznej. Dziś rzec można, że tylko ślepi nie widzą, że w miarę stopniowego zaspakajania głównych żądań w dziedzinie sprawiedliwego rozdziału dóbr i sprawiedliwego rozkładu ciężarów publicznych wzrośnie przyćmione i obumarłe poczucie moralności społecznej. Od 20 lat już i ci, co są *in capite*, nie wzdragają się przed podjęciem opartych na nowych zasadach reform socyalnych, powolnych wprawdzie, ale w każdym razie świadczących, że na drogę tę już wstąpili; wprawdzie polityka socyalna nie wiele jeszcze dotąd zdziałała, ale to przypisać należy powolności czynników ustawodawczych i wpływowi prądów reakcyjnych.

W nowym projekcie ustawy podatkowej, przedłożonym dnia 19 lutego b r. austryackiej Radzie państwa czuć tchnienie nowego prądu. Nie można wprawdzie twierdzić, że projekt ten jest absolutnie dobry, że zaspakaja w zupełności słuszne żądania etyki socyalnej, ale przyznać musi każdy, że widać tu stanowczy krok w nowym kierunku.

Nie jest rzeczą niniejszego artykułu rozebrać i szczegółowo podać projekt reformy podatków, ale wskazać główne i wytyczne jego punkta, o ile one zbliżają się, lub oddalają od żądania szkoły socyalnej.

Faktem niezaprzeczonym jest, że dotąd ekonomicznie najsilniejsi kapitaliści zdołali w Austryi usuwać się systematycznie w całości lub po części od ponoszenia ciężarów na rzecz państwa. Dotychczas istnieją w Austryi 3 klasy bezpośrednich podatków pseudo-dochodowych, które są właściwie podatkami przychodowymi, a nazwano je także w nauce podatkami szacunkowemi ze względu na sposób rozdzielania podatków tych pomiędzy podatkujących przez oszacowanie przeciętnego możliwego przychodu z każdego przedmiotu podatkowego.

Pierwsza klasa podatków, zwanych procederowemi, obejmuje podatek od przemysłu i handlu, druga od zawodów liberalnych, trzecia od procentów i rent.

Obie pierwsze klasy odznaczają się wygórowaną stopą podatkową (ponad 20%); pierwsza klasa podatków obciąża przeważnie i zbyt silnie własność nieruchomą (podatek gruntowy i domowy) a nadto nie oszczędzając wcale ekonomicznie słabych, drobnych przedsiębiorstw, faworyzuje wielkie przedsiębiorstwa, które z łatwością w miarę wzrostu siły ekonomicznej składają proporcyonalny (nie progresywny) podatek. Zbytnia nierówność i niesprawiedliwość rozkładu podatków pierwszej klasy pobudza płacących podatek albo do przerzucania podatku na innych, jak to rzecz się ma przy podatku domowym, który właściciele domów przerzucają na lokatorów, albo do fałszywego podawania fasyi a względnie do defraudacyi podatkowej. Upadek moralności podatkowej jest dziś głośną tajemnicą.

Podatek drugiej klasy, pominąwszy już wysokość jej stopy i dowolność w wymierzaniu go przez niekrępowane przepisami prawnemi urzędy szacunkowe, co stanowi również i ujemną stronę podatków pierwszej klasy, ma — rzecz arcydziwna, — dla jednej kategoryi podatników stopę progresywną. Tę kategoryę tworzą urzędnicy, dla których stopa podatkowa rozpoczyna się od 2% i dochodzi przy pensyi 10.500 złr. do 10%, przy pensyi 20.600 złr. do 15%! Ci, którzy zataić wcale nie mogą swych dochodów, co do którzch *census utilis* wcale zajść nie może, i którzy są najlepszymi i najpewniejszymi płatnikami, bo im się podatek strąca z góry, ci ulegali już dotąd progresywnemu sposobowi opodatkowania. Nie możnaby się zgodzić z tymi, którzy chcieliby sferę urzędniczą całkiem uwolnić od podatku; uwolnienie to byłoby tylko pozornem, gdyż pensya ustawowo zmniejszonaby została, a zresztą uwolnienie od podatku urzędników odjęłoby im charakter wolnych poddanych, którzy na równi z innymi ponosząc ciężary publiczne, mają, po za zakresem urzędowym, całkiem wolne pole i możność szerokiego udziału w życiu publicznem; jednakowoż przeciążenie urzędników podatkami żadnemi motywami nie da się uzasadnić.

O ostatniej klasie podatków bezpośrednich da się tylko tyle powiedzieć: że one istnieją tylko na papierze. Specyalny nieład bowiem w dotychczasowem wymiarze podatków od rent i kapitałów, ulokowanych w publicznych papierach walorowych, dalej zwolnienia, zagwarantowane prawnie i oddawna niektórym papierom walorowym są powodem, że albo nic nie przynoszą albo jeśli dają jakiś wpływ do skarbu publicznego, to ten już dawno stracony został przy kursie papierów na dłużnikach.

Nowy projekt zostaje wprawdzie przy dotychczasowym systemie podatków przychodowych, ale zaprowadza, okrom licznych ulepszeń technicznych t. j. w sposobie rozkładania i pobierania, nadto nowy podatek rentowy, i podatek osobisto-dochodowy z zasadą progressyi. Na razie nie obiecuje sobie rząd żadnych zysków z reformy, gdyż nadwyżka z podatków, z powodu podatku osobisto-dochodowego, przeznaczoną została na opusty dla płacących podatek gruntowy i czynszowy. Jestto jeden z najważniejszych powodów, dla których obecna reforma ma widoki powodzenia. Nie względy fiskalne, lecz względy sprawiedliwości postawione są tu jako główny cel reformy.

Julian Gertler.

Z LITERATURY EKONOMICZNEJ.

(Bimetalizm i wpływ dewaluacyi srebra na przewroty ekonomiczno-społeczne, napisał Stanisław Skarżyński Warszawa, 1892.

Żyjemy w czasach przewrotów ekonomiczno-społecznych, jakich nie pamiętają dzieje świata. Chwieją się coraz silniej podstawy, na których spoczywał dotychczas ustrój społeczeństw, a ludzkość dąży z gorączkowym pośpiechem do wytworzenia nowych warunków bytu, więcej odpowiadających wymaganiom obecnej chwili. Znajdujemy się w epoce przejściowej, najgroźniejszej ze wszystkich, w której nie przeżyły się jeszcze stosunki dawniejsze, a nie ukształtowały należycie nowe, w epoce, nie ujawniającej się może tak jaskrawo na zewnątrz, jak krwawe zapasy z bronią w ręku, lecz w skutkach swych daleko straszliwszej walki ekonomicznej, obejmującej wszystkie społeczeństwa cywilizowanego świata. Charakterystycznem znamieniem tej walki jest powszechne niezadowolenie, spowodowane przybierającym coraz większe rozmiary zastojem na każdem polu działalności ludzkiej. Zdaje się, jakoby świat cały już się przesycił olbrzymią wytwórczością, będącą następstwem zdumiewającego postępu techniki w drugiej połowie bieżącego wieku. A jednak obok bezustannych utyskiwań na produkcyę, rozbrzmiewają rozpaczliwsze jeszcze skargi licznych warstw na brak środków do zapewnienia sobie wytworów tej produkcyi. Kapitały gromadzą się coraz więcej w jednych i tych samych rękach, a jednocześnie wzmaga się wszędzie w zastraszający sposób pauperyzm, brzemienny w zapowiedzi groźnych zawikłań.

Poznanie przyczyn choroby stanowi pierwszy krok na drodze do skutecznego jej wyleczenia. Ale na tem nawet polu ludzkość błądzi po omacku. Ilu zastanawiających się nad tą sprawą, tyle jest zdań sprzecznych o przyczynach przesilenia, trapiącego dzi-

siejsze społeczeństwa, tyle z samej natury rzeczy, lekarstw sprzecznie podawanych, jako radykalny środek ratunku. Jak bowiem skomplikowane są objawy tej choroby, tak różnorodne jej przyczyny. Napróżno też silą się dotychczas najuczeńsi ekonomiści i socyologowie, najgenialniejsi mężowie stanu, nad wynalezieniem tej głównej przyczyny złego, której usunięcie zapewniłoby ludzkości lepszą przyszłość. Najzręczniej ułożona formułka, system na oko najprawidłowiej wykombinowany chybia celu; zamiast polepszyć pogorsza położenie, bo praktyka życiowa wykazuje, że w rachunku tym tkwić musiał niepoznany przez rachmistrza błąd zasadniczy. Nie doprowadził do celu ani skrajny protekcyonizm, zaprowadzony przez niektóre państwa, odgraniczające się murem chińskim od produkcyi zagranicznej, ani reformy społeczne, stosowane tu i owdzie, ani liczne eksperymenta ekonomicznej i finansowej natury, że tylko wymienię zwrócenie się kilku państw do waluty złotej. Z drugiej jednak strony należy wątpić, aby zarzucenie tego eksperymentu, powrót do waluty podwójnej wydać mógł błogosławieństwa, których się spodziewają entuzyaści bimetalizmu.

Nie ulega wątpliwości, że większa z dniem każdym dyprecyacya srebra odbija się coraz niekorzystniej na stosunkach ekonomicznych całego świata. Faktem jest także, że jedną z przyczyn tej deprecyacyi, chociaż nie wyłączną, ani główną, jak się zdaje sądzić autor *bimetalizmu*, była polityka monetarna ks. Bismarka, a mianowicie przejście państwa niemieckiego do waluty złotej. Ks. Bismark po przymusowem swem ustąpieniu stał się żarliwym zwolennikiem zasany *quieta non movere*, czyli nieporuszania urządzeń wypróbowanych przez wieki. Za czasów swych rządów nie trzymał się jednak tej zasady ani trochę. Mianowicie na polu ekonomicznem rządy jego były bezustannem eksperymentowaniem, przerzucaniem się z jednej ostateczności w drugą. Eksperymentem też niefortunnym nietylko dla Niemiec, ale pośrednio dla całego świata, było nagłe, nieuzasadnione rzeczywistą potrzebą, a spowodowane jedynie żądaniami teoretyków, zaniechanie dawniejszego wypróbowanego systemu monetarnego, opartego na srebrze, a zwrócenie się do złota. Niemcy, jak słusznie zaznacza autor, sprzedając swe zapasy srebra, przyczyniły się do jego upadku, zwłaszcza, że jednocześnie Francya i związek łaciński, trzymający się podwójnej waluty, z obawy o zapasy swego złota, odpływającego do Niemiec, zaprzestały wybijania monety srebrnej. Od tego czasu cena srebra z mniej lub więcej znacznemi wahaniami spada stale. — W sierpniu roku 1890 podniosła się, co prawda, chwilowo w następstwie prawa, upoważniającego rząd Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki do zakupu srebra w wysokości 4,500,000 uncyj miesięcznie po 54 pensy za uncyę, aby następnie, spadając coraz gwałtowniej, dojść w zeszłym miesiącu do najniższego poziomu, na jakim się znajdował kiedykolwiek ten metal, a mianowicie do 39 pensów za uncyę.

Trudno przypisywać wyłączną winę tej deprecyacyi polityce monetarnej Niemiec, tem więcej, że Niemcy już w roku 1879 zaprzestały sprzedaży zapasów swojego srebra. Na deprecyacyę złożyło się także kilka innych przyczyn. Najpierw więc niepewność polityki monetarnej w odgrywających tak ważną rolę w kwestyach srebra Stanach Zjednoczonych, gdzie nieustannie walczą z sobą zwolennicy nieograniczonego wybijania monety srebrnej z przeciwnikami tego systemu. Dalej pozostać nie mogły bez wpływu na ukształtowanie się cen srebra obawy, wywołane w ostatnich czasach projektowanem zwróceniem się Austro-Węgier do waluty złotej i prawdopodobnym zamiarem tego państwa pozbycia się przynajmniej części swych zapasów srebra. Głównej jednak przyczyny stałego spadania cen srebra należy szukać w warunkach produkcyi tego metalu, w decydującym ostatecznie i tutaj, jak na każdem innem polu wytwórczości, stosunku podaży do popytu. Około roku 1870 przeciętna roczna produkcya srebra na kuli ziemskiej wynosiła, podług ówczesnej jego wartości w porównaniu ze złotem, około 45 milionów marek; od roku 1891 produkcya ta podnlosła się do 756 milionów marek; produkcya zaś złota równa się obecnie zaledwie pierwszej z dwóch sum wyżej wymienionych. W tak nadmiernym wzroście produkcyi srebra, nawet międzynarodowy związek bimetaliczny, do którego wytworzenia dążą amerykańscy mężowie stanu i za ktorym przemawia pan Skarżyński, nie zapobiegłby skutecznie złemu, nie zdołałby przywrócić dawniejszego stosunku wartościowego pomiędzy srebrem a złotem; chyba, że zdecydowanoby się na sztuczną deprecyacyę złota, która, jeśli w ogóle przy dzisiejszych warunkach ekonomicznych dałaby się przeprowadzić, mogłaby spowodować niedogodności, niemniejsze od dzisiejszej deprecyacyi srebra.

Niezupełnie też słuszne jest twierdzenie, jakoby przeciwnicy bimetalizmu w krajach o walucie złotej, a więc przedewszystkiem w Niemczech i Anglii, rekrutowali się wyłącznie z teoretyków, wierzących ślepo, wbrew wszelkim dowodom przeciwnym praktyki, w nieomylność swoich formułek, oraz z kapitalistów, narażanych na mniej lub więcej znaczne straty w następstwie zarzuconej waluty złotej; opór ten ogarnia daleko szersze warstwy narodu, a tłómaczy się obawą nowych zawikłań ekonomicznych. Przypuściwszy nawet, że zaprowadzenie waluty złotej w Niemczech było błędem panoszących się w tem mieście, jak nigdzie, teoretyków, mało obeznanych z rzeczywistemi wymaganiami życia, kto wie, czy nowy przewrot w polityce monetarnej nie byłby krokiem w skutkach swych niebezpieczniejszym od tego błędu.

Nie moją jest rzeczą rozwodzić się w tem miejscu szczegółowo nad bimetalizmem, jego korzyściami lub niedogodnościami. Ciekawemu tej zawiłej wielce, a tak ważnej sprawy, polecić tylko mogę studyum p. Stanisława Skarżyńskiego. Nie zgadzam się z założeniem autora, upatrującego w zarzucaniu bimetalizmu przez niektóre państwa europejskie głównej przyczyny obecnego przesilenia, a w powrocie do tego systemu skuteczną drogę wyjścia z dzisiejszego położenia. Przesilenie to wywołał cały szereg przyczyn, pozostających z sobą w mniej lub więcej ścisłym związku, trudno więc łudzić się nadzieją, jakoby usunięcie jednej z tych przyczyn mogło zaradzić złemu. Po za tem jednak przyznaję, że świeżo wydane dzieło p. Skarżyńskiego jest płodem sumiennej pracy, opartej na dokładnej znajomości przedmiotu, pracą ekonomisty nietylko należycie obeznanego z teoryą, ale śledzącego także osobiście objawy i wymagania życia praktycznego. Znajdzie w niej czytelnik dokładny i wyczerpujący obraz kwestyi monetarnej, począwszy od monety w ogóle, a mono- i bimetalizmu w szczególności, od stosunków wartościowych srebra do złota w różnych państwach i ich wzajemnem oddziaływaniu na cyrkulacyę bogactw, a skończywszy na historycznym przebiegu kwestyi monetarnej i jej obecnym wpływie na przesilenie wszechświatowe.

Wykład ten daleki jest od zwykłej w tego rodzaju pracach ciężkości. Mimo tego nie widać ani śladu dyletantyzmu. Autor, gruntownie obeznany z właściwą literaturą, każde nieledwie swe twierdzenie popiera zdaniami wybitnych ekonomistów rozmaitych narodowości. Praca p. Stanisława Skarżyńskiego stanowi cenny nabytek dla tak ubogiej w dzieła oryginalne naszej literatury ekonomicznej.

P.

Z CHWILI.

(KRONIKA SPOŁECZNA.)

IV.

(Pierwszy maja w Europie. — Reforma uniwersytecka we Francyi. — Bankructwo Włoch, wskutek militaryzmu).

Najpiękniejszy z dni wiosennych, dzień pierwszego maja, od lat dwóch brzemienne trwogą święto socyalnej-demokracyi, przeszedł w r. b. wyjątkowo spokojnie w całej niemal Europie. W Wiedniu odbyły się zwykłe tam zgromadzenia, pochody i zabawy ludowe na Praterze; Berlin, Londyn i miasta włoskie również nie były widownią najmniejszych choćby rozruchów, jedynie pod zaborem rosyjskim — rzecz dziwna — w Łodzi zdarzyły się wypadki tak żywo przypominające zajście Ostrawskie z przed dwu laty. A w Paryżu?

Tam dnia 1-go maja, kiedy 30.000 wojska stało pod bronią — nie zaaresztowano ani jednego nawet człowieka. Tysiące cudzoziemców opuszczało mury Paryża przed 1-szym maja, lękając się nowych Ravacholów, rząd z swej strony poczynił przygotowania obszerne przed anarchistami, tymczasem ci, jakby przestraszeni własnemi zbrodniami, umilkli i do dziś dnia nie słychać o żadnym nowym wybuchu. Proces Ravachola, skończył się, jak wiadomo, kompromitująco dla sędziów, którzy z obawy przed anarchistami, uwzględnili okoliczności łagodzące, karząc zbrodniarza jedynie dożywotniem więzieniem. Pierwsza ofiara ostatniego wybuchu już nie żyje. Umarł restaurator Véry, rząd żonie jego przeznaczył dożywotnie wsparcie.

Francya nie jest jedynem państwem, gdzie anarchia groźną przybiera postać. Tam jest anarchizm bardziej kwestyą policyjną; mieszczaństwo francuskie nie odznacza się wcale sentymentalizmem i dla wrogich sobie żywiołów bezwzględnem być umie; wśród robotników zaś, pośród socyalnej demokracyi, anarchizm nie tylko niema miru, ale nawet spotyka się z bezwzględnem potępieniem.

W całej Europie nurtuje prąd niezdrowy; świadczy o tym wypadek kościelecki i odkrycia w Hiszpanii, gdzie ujęto wielu groźnych anarchistów i uniknięto strasznego niebezpieczeństwa: wysadzenia w powietrze kilku gmachów państwowych.

Nie mniej symptomatycznie przedstawiają się zaburzenia w kościołach francuskich.

Nr. 10. Kraków, 15 Maja 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

POLACY W BRAZYLII.

Uczestnik ekspedycyi naukowej do Brazylii, dla zbadania tamtejszych stosunków emigracyjnych, znany publicysta p. Antoni Hempel wygłosił w Krakowie niezmiernie interesujący o poważnym podkładzie odczyt, który rzuca nowe światło na tak doniosłą w chwili obecnej kwestyę wychodźtwa polskiego. P. Hempel zadał sobie nie mało pracy, celem głębszego poznania wszystkich objawów masowego prądu emigracyjnego i zebrał dużo materyałów statystycznych, które pozwoliły mu oprzeć się na faktycznych podstawach, przy wysnuwaniu pouczających wniosków i opinij.

Dzięki uprzejmości Sz. prelegenta, możemy podzielić się z naszymi czytelnikami — sporą wiązanką uwag p. Hempla, wyjętych z obszernego odczytu*).

Ostateczny rezultat awanturniczej, tłumnej emigracyi brazylijskiej jest mniej więcej następujący:

1) 8—10.000 wychodźców naszych osiadło w miastach lub poszło na plantacye kawy. W ciągu $^1/_2$-rocza wymarło około 25% tj. około 2—2.500. Reszta też zmarnieje, szczególniej ci, co zostali w Rio. Nieznaczna tylko garstka, rozproszona po innych miastach, dojdzie do jakiego takiego dobrobytu.

2) Około 30 tysięcy chłopów przeważnie osiadło na koloniach. Z tych 11$^1/_2$ tysiąca osadzono w Parana, niedaleko od starych kolonii. Ci straciwszy od 10—20% ludzi w czasie pierwszego roku — dojdą prawie na pewno do mniejszej lub większej zamożności. Ci mają przyszłość przed sobą pod każdym względem. Dwadzieścia tysięcy osiadło w stanach Rio Grande do Sul i Santa Catharina. Tymczasowo nie grozi im niebezpieczeństwo wynarodowienia. O przyszłości ich — jako grup paro-kilko tysięcznych — nic pewnego tymczasem powiedzieć nie można.

Widoczną jest rzeczą, że nowo założone kolonie polskie 1890—1892 roku, lat parę jeszcze będą się szamotały z biedą, z nędzą — tak jak szamotali się dawniejsi nasi koloniści; — jeszcze nie jeden z nowoprzybyłych przypłaci życiem zaaklimatyzowanie się na gruncie amerykańskim. Tak — brak informacyi, znajomości stosunków, języka, — nieracyonalna, tłumna, a nieświadomie przedsiębrana wędrówka, będą zapłacone drogo — śmiercią $^1/_4$ conajmniej części wychodźców naszych; pomimo tego reszta osiadłszy na ziemi urodzajnej, — zagospodarowuje się i przebojem stwarza sobie nowe życie, — pod każdym względem pełniejsze i szersze niż to, na jakie w dzisiejszych warunkach skazani byli ci bezrolni nędzarze w Kongresówce.

Po pierwszym okresie emigracyi gorączkowej, — jak zwykle, nastąpi drugi okres, okres emigracyi spokojnej, płynącej już utartem korytem. Emigrant wezwany przez swych krewnych — znajduje w nich najlepszych opiekunów i przychodzi wprost do roboty.

Tak było z północno-amerykańską emigracyą naszą, tak z dawniejszymi emigrantami w Brazylii, tak się też stanie i z nową falą Polaków 1890—1891 roku. Teraz trzydziestokilkotysięczna ludność nasza w Parana, składająca się z przybyszów ze wszystkich krańców Polski, — będzie powodywała stałą, chociaż nie tłumną emigracyę z kraju całego.

Nie pomagały, nie pomogą odradzania, wstrzymywania, fala ta wywołana przez krewnych, którzy znaleźli w Ameryce lepsze warunki bytu — płynąć będzie coraz szerszym strumieniem — stale, chociaż w ukryciu.

Kolonie polskie w Parana, liczące przed piętnastu laty kilkadziesiąt chat, dziś, wraz z nowo założonemi liczą już kilka tysięcy chat z trzydziestokilkotysięczną ludnością, za lat kilkadziesiąt kolonij tych naliczymy już może kilkadziesiąt co najmniej tysięcy z milionową już może ludnością. Przykład Stanów Zjednoczonych, francuskiej Kanady, Argentyny — świadczy, że jest to rzeczą zupełnie prawdopodobną, możebną. — W sąsiednich południowych prowincyach Brazylii z powstałych 1849 roku kilkudziesięciu kolonij niemieckich — dziś wyrosło już kilka ogromnych okręgów, liczących półmiliona ludności, pomimo tego, że niemcy osiedli — w niezdrowych dolinach, że w drugiem pokoleniu zmniejsza się ich rozrodczość, że w ogóle — znajdują się w warunkach gorszych, niż Polacy w Parana.

Kolonie polskie w tej prowincyi rozrastając się szeroko na ogromnych przestrzeniach ziem urodzajnych, mają zapewnioną przyszłość przed sobą; zagarnąwszy ogromne przestrzenie — koloniści nasi będą panami położenia; dziś pobudowali już porządne kolonie, kościoły, szkoły, pozakładali sklepy, jutro zbudują miasta. Ciężką pracą zdobywszy jaki taki dobrobyt, teraz prędko dojdą już do oświaty, a mając wolność urządzania się we własnych koloniach — zdobędą sobie niedługo należny im, decydujący wpływ w zarządzie prowincyą.

Stare nasze kolonie w Parana, wskutek nieporządków, przewrotów w rządzie brazylijskim, przechodzą też ciężkie czasy. W końcu lutego b. r., biskup z San Paulo zrobił zamach na kościoły polskie — poprzenosił księży Polaków do brazylijskich parafij. — Naturalnie, zaprotestowano przeciw temu gwałtowi i stał się ogromny alarm na koloniach; chłopi nasi za nic w świecie nie ustąpią księży, których sami sprowadzili z kraju, którym sami dają utrzymanie. Żaden chłop nie pójdzie nigdy do księdza brazylijskiego, do których absolutnie wiary nie mają.

Sądzę, że sprawa ta będzie pomyślnie załatwioną, tem bardziej, że zahaczono jednocześnie włochów i niemców. Jest to dziki, lecz bezsilny, może, ostatni atak księży brazylijskich, zazdrosnem okiem spoglądających na porządek w parafiach naszych, na szacunek, jaki księża nasi mają u swych parafian.

Pod względem narodowym stanowiąc zwarte grupy kolonij, — nie potrzebują się niczego obawiać; dotąd bardzo mało władają językiem urzędowym portugalskim; w Cuntybie nawet wielu niemców sklepikarzy nauczyło się po polsku. Niemcy inteligentni, nawet tutejsi, widząc w Polakach siłę, z którą się rachować muszą, na każdym kroku oświadczają się z przyjaźnią. Na balu w towarzystwie niemieckiem, redaktor gazety, Scheider, z mównicy publicznie zaznaczył, że „niemcy brazylijscy za hańbę swego narodu uważają przyczynienie się Niemiec do rozbioru Polski“. Oświadczenie to publiczność przyjęła oklaskami. Gdy znów na innem zgromadzeniu niemieckiem pewien nauczyciel niemiec odezwał się o Polakach — w naszej obecności — niepochlebnie, natychmiast pozbawiono go posady w szkole gminnej i zmuszono do wyjazdu z Cuntyby.

Nawet na drobniejszych koloniach (w stanach Santa Catharina) polskich, jak n. p. na kolonii Rio Vermelho, liczącej nie całe 3000 Polaków, odosobnionej, znajdującej się obok ogromnej 9,000 kolonii niemieckiej, San Beuto, Polacy się nie wynaradawiają i mówią po polsku czyściej, niż mówili w Prusach Zachodnich, zkąd pochodzą.

Z wzrastającą zamożnością i oświatą, wzrasta i samowiedza narodowa.

Teraz już nowopowstające kolonie nazywają nie dawnemi nazwami portugalskiemi, lecz czysto polskiemi. Świeżo powstały o kilka mil od Cuntyby kolonie polskie: Polesie, Biskajówka, S-ta Krystyna. W porównaniu z koloniami innych narodowości, kolonie polskie w Brazylii — absolutnie wszystkie — odczuwają ogromny brak inteligencyi, któraby oddawała koloniom rzeczywiste usługi — jak to doktorów, aptekarzy, nawet nauczycieli — inteligencyi, któraby, oprócz swych zajęć zawodowych, podjęła pracę nad zgrupowaniem, zorganizowaniem rodaków, a w sejmie, w prasie, w stowarzyszeniach broniła interesów wychodźców naszych. Dziś, mogąc wybierać więcej niż $^1/_3$ część deputowanych do sejmu w Cuntybie, nie wybierają ani jednego Polaka, wprost dlatego, że niema

*) Towarzysze p. Hempla: dr. Siemiradzki i p. Łaźniewski przebywają jeszcze w Brazylii. (*Przyp. Red.*).

odpowiednich ludzi, — koloniści nasi czują tę potrzebę; gdyśmy zwiedzali kolonie stare, wszędzie zaklinano nas na wszystko, by uprosić w kraju doktorów, księży dobrych, by przyjeżdżali do nich. — W roku zeszłym koloniści nasi postawili pierwsze dopiero kroki na polu organizacyi narodowej, zakładając w Cuntybie Towarzystwo wzajemnej pomocy Tadeusza Kościuszki; towarzystwo to w czasie ogłoszenia w Paranie konstytucyi w lipcu roku zeszłego — urządziło pochód kolonistów w strojach narodowych z polskiemi chorągwiami, akcentując tem swą odrębność narodową.

Za jednę z najpilniejszych rzeczy uważałbym założenie w Kuntybie „Domu narodowego polskiego“, gdzie obok sklepów z towarami polskiemi, o które koloniści się tak bardzo dopominają, założyć należałoby: księgarnię, redakcyę pisma, salę na zebrania i przedstawienia teatralne, rodzaj wreszcie hotelu; obok tego szpital, a potem; o ile znalazłoby się ludzi odpowiednich, to w porozumieniu z tamtejszą inteligencyą, łatwo bardzo mogliby stworzyć podobną instytucyę, którąby jednocząc Polaków parańskich, oddała wielkie usługi sprawie polskiej*.)

---

*) Z prawdziwem zadowoleniem zaznaczamy, iż oddawna już kiełkująca myśl założenia specyalnego pisma, poświęconego sprawie wychodźtwa polskiego — niebawem już się urzeczywistni, dzięki ofiarności grona ludzi dobrej woli. Mianowicie we Lwowie zacznie wychodzić od 1 lipca b. r. dwutygodnik pt.: „Przegląd emigracyjny“, którego zadaniem będzie — wedle prospektu — „jednoczyć nici całej emigracyi polskiej, szerzyć myśl narodowej organizacyi wychodźtwa, celem wyzwolenia emigrantów od wyzysku agentów zagranicznych“. Pragnąć należy, aby „Przegląd emigracyjny“ znalazł w naszem wiecznie drzemiącem społeczeństwie gorące poparcie, na jakie rzeczywiście zasługuje. Dowodem „zainteresowania się“ Krakowa odczytem p. Hempla — jest fakt że na prelekcyi było osób... 28 (sic)!. (*Przyp. Red.*).

Z NIWY PIŚMIENNICZEJ.

I.

Pamiętnik Towarzystwa imienia Adama Mickiewicza. Rocznik V. Lwów 1891.

Charakterystycznym jest w dziedzinie naszych badań krytyczno-literackich objawem, że cały niemal prąd prac i studyów krytycznych skierował się w ostatnich czasach na osobę i dzieła Adama Mickiewicza. Stwierdza on, że wpływ tego największego geniuszu, który pozostanie chlubą nie tylko polskiej ale wszechświatowej literatury nie tylko nie słabnie, ale owszem coraz szerszemi kręgi ogarnia społeczeństwo nasze, coraz wszechwładniej panuje w dziedzinie naszej umysłowości i literatury pięknej i do coraz gruntowniejszych pobudza badań dzisiejsze pokolenie. A że z pewnego oddalenia postać wieszcza oglądana i oceniana w innem przedstawia się świetle, aniżeli widzieli ją współcześni, lub ci, co bezpośrednio pod jej wpływem zostawali, że dopiero perspektywa czasu i odległości daje możność należytego krytycznego oświetlenia postaci poety tej miary, co Mickiewicz, przeto też w tym naturalnym zupełnie objawie szukać należy przyczyny i źródła tego nagłego zwrotu do badań nad osobą i dziełami Mickiewicza. Zwrot to bądźcobądź poważny i znamienny w dzisiejszym stanie naszych badań historyczno-literackich i będący wyrazem istotnej duchowej potrzeby naszego społeczeństwa.

W tej żmudnej pracy, w tem mozolnem dziele gromadzenia cegiełek do budowy wielkiego literackiego pomnika dla Mickiewicza przoduje lwowskie Towarzystwo Mickiewiczowskie, którego piąty z rzędu pamiętnik przynosi nam nowe bogactwo studyów, prac i materyałów, odnoszących się do życia i twórczości naszego największego poety.

Z prawdziwą radością witamy na wstępie tego rocznika trzecią i ostatnią część cennej rozprawy Dra Piotra Chmielowskiego w poprzednich rocznikach rozpoczętej p. t.: „Estetyczno-krytyczne poglądy Adama Mickiewicza“. Ze wszystkich studyów nad poetą, jakie się w ostatnich latach pojawiły, praca p. Chmielowskiego jest jedyną źródłową i pomnikową, która nam odsłania nowe, nieznane i przez krytykę dotąd niemal że wcale nie dotykane horyzonty. Niniejszą trzecią częścią zamknął znakomity autor stworzony dopiero przez siebie obraz estetyczno-krytycznych poglądów Adama Mickiewicza i obdarzył piśmiennictwo pracą pierwszorzędnego znaczenia i doniosłości. Szczupłość miejsca w stosunku do ogromu materyału nie dozwala nam wdawać się na tem miejscu w szczegółowy rozbiór i ocenianie wyników długoletnich i gruntownych studyów p. Chmielowskiego — to tylko nadmienić musimy, że wyzyskał tu autor całą literacką działalność Mickiewicza od pierwszych studenckich jego robót, począwszy od recenzyi „Jagiellonidy“ i późniejszych, do przesiąkniętych mistycyzmem wykładów w kolegium francuskiem, i na tle wszystkich w grę wchodzących czynników. skrystalizował sąd swój, który będzie wytyczną dla wszystkich, co po nim przedmiotem tym zająć się zechcą. W zamieszczonej w ostatnim roczniku trzeciej części objął autor okres od r. 1829 do 1841, tj. czas, z którego datuje się III część „Dziadów“, „Pan Tadeusz“ — jednem słowem najświetniejsza i najważniejsza epoka twórczości Mickiewicza.

W drugiej z rzędu pracy poddaje pana Wł. Nehring naukowej rozprawie i szczegółowemu rozbiorowi paryskie prelekcye Mickiewicza. I to przedmiot nowy, mało bardzo w krytyce uwzględniany. Autor, oddający się w ostatnich czasach z zamiłowaniem badaniom pomników literackich i literatury słowiańskiej, rozpatrzył prelekcye bardzo starannie i ocenił krytycznie genezę poglądów Mickiewicza, wskazując na ich usterki z jednej a podnosząc niepospolite zalety z drugiej strony i dał w całości pracę bardzo potrzebną, bardzo zajmującą i posuwającą znacznie naprzód dotyczasowy stan badań nad tym przedmiotem.

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

EMILA ZOLĘ.

6) CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Ważne to były przyczyny, które zdecydowały generała Douay do natychmiastowego odwrotu. Depesze podprefekta z Schelestadt, z onegdaj datowane, znalazły potwierdzenie w najnowszych wiadomościach. Telegrafowano, że dostrzeżone zostały sznury ogni obozu prusaków, zagrażające miasteczku Markolsheim, z drugiej strony donoszono, że korpus armii nieprzyjacielskiej przechodzi Ren pod Huningue. Szczegóły nadchodziły obfite, dokładne: kawalerya i artylerya osłania pochód piechoty, dążącej ze wszystkich stron na ich punkt zborny.

Godzina zapóźnienia, a linia odwrotu na Belfort zostanie przecięta. W przygnębieniu klęską, po Wissenburgu i po Fröschwiller, generał, odosobniony, sam w awangardzie, nie mógł zrobić nic innego, jak cofać się pośpiesznie, tembardziej, że wiadomości najświeższe, dziś rano odebrane, potęgowały jeszcze te wieści, które przyniosły depesze w nocy.

Naprzód dobrym kłusem, pojechał sztab, ostrogami konie zagrzewając, w obawie, aby nie zastać przypadkiem prusaków w Altkirchen i nie zostać przez nich odciętym. Generał Bourgain Desfeuilles, przeczuwając etap ciężki, przez ostrożność przejechał przez Milhuzę, gdzie zjadł obfite śniadanie, ciągle gderając na to głupie kołatanie się bezcelowe. I Milhuza przy przejściu oficerów była zrozpaczona. Mieszkańcy, dowiedziawszy się o cofaniu się armii, wychodzili na ulice i lamentowali nad tak nagłem odejściem żołnierzy, na których przyjście tak długo czekali. Więc ich siła zbrojna opuszcza, więc bogactwa milionowe, nagromadzone na stacyi kolei żelaznej, pozostawione są na pastwę wroga, więc miasto ich drogie, zanim wieczór nastanie, będzie już tylko miastem zdobytem!?...

Dalej, wzdłuż drogi, przez wsie i pola wojsko spotykało domy opuszczone i mieszkańców, stojących przed wrotami, lub przy zagonie, zdziwionych, przerażonych. Cóż to się dzieje!... te pułki, które widzieli wczoraj, idące do walki, dziś już wracają, uciekają bez bitwy, bez strzału!... Wodzowie jechali smutni, przyśpieszając kłus koni, nie chcąc odpowiadać na pytania, jak gdyby nieszczęście im już na pięty nadeptywało.

W zamieszaniu odwrotu, wzdłuż kanału, łączącego Rodan z Renem, niedaleko od mostu, pułk 106 musiał się zatrzymać na pierwszym kilometrze etapu. Rozkazy marszu, źle wydane i jeszcze gorzej wykonane, zgromadziły tu naraz całą drugą dywizyę, a przejście było tak ciasne, tak wąskie — pięć metrów zaledwie — że ta defilada na wieczność całą się wydłużała.

Dwie godziny upłynęło, a pułk 106 czekał ciągle, stojąc na miejscu i patrząc na tłumy nieprzeliczone, które przechodziły przed nim. Ludzie, stojąc tak w pełnem słońcu z tornistrami na plecach i z bronią przy nodze, szemrać w końcu poczęli z niecierpliwości.

— My widać w aryergardzie jesteśmy!... odezwał się złośliwy głos Loubeta.

Ale Chouteau, któremu ironia nie wystarczała, uniósł się gniewnie.

— To są przecież kpiny!... Oni sobie z nas drwią widać i dla swojej zabawki nas tu pieką na wolnym ogniu!... Byliśmy tu pierwsi, trzeba nam było się pchać, nikogo nie pytać!...

Rozpoczęta przed kilku laty, przez p. Kallenbacha rewizya tekstów dzieł Mickiewicza na podstawie autografów, znalazła sumiennego kontynuatora w osobie autora trzeciej większej rozprawy: prof. Tadeusza. Pilata, który nam dał przegląd pierwszych trzech ksiąg „Pana Tadeusza“. Znakomity rezultat jaki praca ta przynosi, jest jednym więcej dowodem, jak ważną, w dziedzinie badań krytyczno-literackich, rolę odgrywa rewizya tekstu. Wyświeca ona, jak w danym wypadku, sposób, w jaki kształtowały się pomysły w umyśle wieszcza, wskazuje na formę, sposób tworzenia, tok myśli i wyświetla cały proces wyłaniania się błysków geniusza. Praca p. Pilata, lubo jest samodzielnem studyum, uważaną być może i musi jako materyał, który niejednokrotnie będzie jeszcze służył badaczom za podstawę do formułowania sądów i wniosków o twórczości Mickiewicza.

Pozostałą część tomu wypełniają działy „Miscelaneów“ i „Materyałów“. W pierwszym znajdujemy 9 mniejszych artykułów i rozprawek pióra pp. Bruchnalskiego, Kallenbacha, Bełzy, Wagnera, Sternala i Gubrynowicza, odnoszących się do niektórych szczegółów, wyświetlających wpływ obcych pisarzy, na Mickiewicza lub przytaczających sądy współczesnych i późniejszych o Mickiewiczu; w drugim materyały kwalifikujące się do umiejętnego krytycznego opracowania. Bardzo zajmującym i ważnym wydaje nam się artykuł Mickiewicza o nowoczesnem malarstwie religijnem, odnaleziony przez p. Kallenbacha w czasopiśmie paryskiem „Nord“ z r. 1835, dalej nie mniej zajmującym raport urzędowy Nowosilcowa o Konradzie z kopii znalezionej przez p. Tretiaka w bibliotece Kórnickiej.

Obficie zasilany dział recenzyj i sprawozdań, tudzież bardzo sumiennie zostawiona przez p. Bruchnalskiego bibliografia dzieł, pism i druków, odnoszących się do Mickiewicza za r. 1890, dopełnia zawartości tomu, imponującego obfitością materyału i jego naukową wartością.

Jeżeli do niedawna mieliśmy podstawę do zazdroszczenia Niemcom ich wzorowych publikacyj i wydawnictw, odnoszących się do Goetego i Szyllera, to dziś wobec znakomitej i tak skutecznej działalności, jaką rozwija Towarzystwo Mickiewiczowskie swym pamiętnikiem, powód ten zniknął w zupełności. Z dumą i chlubą szczycić się możemy, że społeczeństwo polskie potrafiło nie tylko spiżowy pomnik wznieść ukochanemu poecie ale z największym pietyzmem przystąpiło do zbudowania mu olbrzymiego literackiego pomnika, którego szerokiemi podstawami są dotychczasowe roczniki Pamiętnika Towarzystwa imienia Mickiewicza *).

W. Prokesch.

*) Dowiadujemy się z poważnego źródła, że Tow. im. Mickiewicza przystępuje obecnie do nowego wydawnictwa, które poświęcono również pamięci twórcy „Dziadów“. Będzie to wspaniała edycya dzieł wieszcza, obejmująca wszystkie prace Mickiewicza wierszem i prozą — słowem całą po poecie spuściznę. Każde dzieło ma być zaopatrzone wyczerpującemi komentarzami i osobnym wstępem krytyczno-historycznym. Rzecz cała obliczona na 15 tomów po 22—24 arkuszy druku. Na pierwszy tom świetnej publikacyi złożą się 3 zeszyty z trzech różnych działów, między niemi zaś początek utworzą: Drobne poezye w opracowaniu Piotra Chmielowskiego, nastąpią pieśni liryczne i mistyczne, oświetlone przez Bruchnalskiego, „Pan Tadeusz“ przez R. Pilata i Bruchnalskiego, dalej studya Bełzy, Nehringa, Konarskiego, Finkla etc. *(Przyp. Red.)*.

„W DZIESIĄTYM PAWILONIE.“

(SZKIC)

Kto i kiedy nadał Waciowi pseudonim All-de-Barana nie potrafię określić ściśle, ponieważ jednak nikogo to prawdopodobnie nie interesuje, poprzestanę więc na zaznaczeniu, że pseudonim powyższy przylgnął do Wacia w sposób dziwnie nieodlepiony. Obecnie Wacio od jakichś piętnastu miesięcy zajmuje lokal w „dziesiątym pawilonie“, — ściślej mówiąc, zajmuje jeden pokój książęcy, umeblowanie którego stanowi: łóżko, miotła — nic więcej.

Począwszy od ścian i sufitu, nie tyle pomalowanych, ile pomazanych niebieskawo szarém wapnem, a kończąc na szparach w poparzonej podłodze — wszystko badał już Wacio z zadziwiającą systematycznością, to też w ciągu zajmującego nas obecnie momomentu jego żywota zajęty jest innemi zatrudnieniami: studyuje z pewnem odcieniem pogardy swe długie i zakrzywione, jak szpony jastrzębia, paznokcie, wyskubuje kupki nici z tych miejsc surduta, jakie w odległej przeszłości ozdobionemi były przez rzeczywiste guziki, wymierza zapomocą skrawka papieru objętość swych zatrważająco chudnących łydek, tępi zaciekle wielkorosyjskie pluskwy i czasami defilując po izbie, wypowiada monologi. Błękit tęczówek jego oczu spełzł, nadając tym wymownym niegdyś, płomienistym i czarującym oczom kolor sopla lodu, wargi zawinęły się wewnątrz prawdopodobnie wskutek częstego zacinania zębów, policzki zapadły, skronie zżółkły zupełnie jak u starca. Niktby nie przypuścił, patrząc na mizerną postać tego młodziana, — gdyby, nota-bene, ktokolwiek miał możność oglądania jego mizernej postaci, — że on to właśnie usiłuje trwale wypełnić jedną z najtrudniejszych do wypełnienia maksym życia: usiłuje patrzeć na cierpienia chwili obecnej ze stanowiska przyszłości.

— All-de-Baranie! mówi do siebie Wacio, — wypada ci wiedzieć, że zestawianie rzeczy dijametralnie różnych wytwarza dowcip, lub boleść. Zajmować się wytwarzaniem dowcipu w tym oto pawilonie jest, o ile mnie się zdaje, rzeczą zbytkowną, — zajmować się wytwarzaniem boleści, — jest rzeczą szkodliwą — n'est ce pas?... „Nessun maggior Dante Alighieri, a może i sam Tarquato Tasso.“ Otóż, wychodząc z tego, że tak powiem, założenia, powinieneś uspokoić się zupełnie, umieścić wygodnie „sphincter ani“ na stanowisku przyszłości i patrzeć na chwilę obecną z pobłażliwością — spokojem. Zabijają cię, męczą, wyciągają z ciebie nerwy i żyły — to takie proste, naturalne i logiczne. Czy sprawiedliwie — to rzecz inna. Twoja wina, żeś się zbłąkał, jak ptak wędrowny nad oceanem, leciał długo bez

---

Ponieważ zaś z drugiej strony kanału widać było te wielkie i żyzne płaszczyzny, te drogi równe, pomiędzy chmielnikami i zbożem dojrzałem — zdawano sobie przeto doskonale sprawę z ruchu wstecznego wojsk, które robiły na nowo, tylko w kierunku przeciwnym, drogę tę samą, którą przebyły wczoraj i w całej masie wojska słychać było szmery niezadowolenia, śmiechy ironiczne i to wszystko co się składa na wściekłość wewnętrzną, zewnętrznym żartem pokrywaną.

— Pyszna rzecz!... Walimy się jedni na drugich!... — wołał Chouteau. — I to według nich nazywa się marsz na nieprzyjaciela!... Przecież nam tym nieprzyjacielem ciągle w głowach zawracają!... Ale nie!... żart na stronę!... Bohaterstwo nie lada!... Idzie się naprzód!... ostro!... potem... pędzi w tył jeszcze ostrzej... nie zatrzymując się nawet na tyle, żeby sobie zupy nagotować!...

Wściekłość i gorzkie śmiechy wzrastały z każdą chwilą, a Maurycy, który stał obok Chouteau, racyę mu przyznawał. Jeżeli się tu stoi dwie godziny, jak żerdzie w płocie, to przecież można było spokojnie ugotować zupę i zjeść!?... Głód im na nowo dokuczać zaczął i czarna budziła się złość o to zawczesne wywrócenie kotłów i o ten pośpiech, którego konieczności nikt nie mógł zrozumieć i który im się wszystkim wydawał głupim i podłym. To mi sztab!... niech go dyabli!...

Porucznik Rochas zgromił sierżanta Sapina za tę niesubordynacyę jego ludzi. Posłyszawszy hałas zbliżył się też i kapitan Beandoin, sztywny i surowy.

— Cicho tam!... w szeregach!...

Jan, niemy, jak każdy stary żołnierz, przywykły do karności, spoglądał na Maurycego, którego przynajmniej na pozór bawiła pełna złośliwości i jadu blaga Chouteau i dziwił się. Jakto!... taki panicz, chłopiec, który takie wykształcenie otrzymał... jak on może pochwalać takie rzeczy, które może w gruncie są prawdą, ale których mówić nie należy!?... Gdyby każdy żołnierz zaczął tak ganić oficerów i swoje zdanie wyrażać, to by dopiero pięknie wojsko wyglądało!...

Nareszcie po jeszcze jednej godzinie oczekiwania, pułk 106 otrzymał rozkaz ruszenia naprzód. Jednakże most był ciągle tak zawalony tyłami dywizyi, że się z tego wyrodził straszny nieporządek. Kilka pułków zmięszało się razem, całe kompanie, uniesione prądem, rwały się naprzód, gdy tymczasem inne, odepchnięte na skraj drogi, musiały posuwać się wolnym krokiem. Zamięszanie dosięgło swego szczytu wtedy, gdy jakiś szwadron kawaleryi gwałtem się na mosst wcisnął, odtrącając na sąsiednie pola maruderów, których piechota już siać zaczęła.

Po pierwszej godzinie, cała kupa ludzi wlokła się i ociągała, wydłużając linię i opóźniając marsz jakby umyślnie.

W ten sposób Jan znalazł się w tyle, zabłąkany prawie, w głębi wijącej się między pagórkami drogi, wraz z plutonem swym, którego opuścić nie chciał. 106 pułk zniknął, ani jednego żołnierza, ani jednego oficera z całej kompanii już widać nie było. Byli to już tylko żołnierze odosobnieni, mięszanina nieznajomych, znużonych już na początku etapu, a każdy z nich szedł osobno, jak mu się podobało i jak go ścieżka wiodła. Słońce promieniami swemi paliło tych ludzi, a upał był przygnębiający.... Tornister wraz z namiotem i całem mnóstwem rozmaitych przedmiotów, które go wypełniały, strasznie ciężył na ramionach. Wielu z pomiędzy nich nie było przyzwyczajonych do noszenia go... Gruba kapota obozowa, przeszkadzająca w ruchach i tamująca swobodę marszu, wydała im się ołowianem przykryciem. Nagle jeden z pomiędzy nich, żołnierz blady, z oczyma dużemi, jakby pływającemi, przystanął i rzucił tornister w rów.... Z głębi piersi jego

tchu i odpoczynku. Cóż dziwnego, że teraz spadniesz i rozciągnie się nad tobą wiecznie milczące oblicze przepaści? Któż ci zaręczył że nie jest najwyższem dobrem — według starej edycyi — „śmierć, sąd, piekło, niebo“, — według nowej — „niepoznawalna?“ Tam, poza pawilonem, taka wahająca się wątpliwość budzi przestrach i tajemniczą trwogę, — dla nas, trochę zanadto zamęczonych myślicieli, stanowi szczelinę, którędy można wyjść. My nadto posiadamy niemal pewność. że stada ptaków, podobnych do nas, lecieć będą tymsamym szlakiem, a najcięższa podobno boleść traci połowę swej niszczącej siły o ile staje się cierpieniem gromadzkiem, nie mojem, ani czyjemś osobistem, ale naszym, wspólnem, braterskiem. Wierz mi, All-de-Baranie, że istnieje w tej dolinie łez pewnego rodzaju kooperacya serc zamęczonych, która...

W chwili, gdy Wacio wygłasza ten monolog, zakładając nogi na poręcz łóżka w sposób prawdziwie oryginalny, — uchylają się drzwi i wchodzi na paluszkach pan.

Pan jest kawalerem bardzo wysmukłym, ma na cienkim nosku szare binokle, dokoła brudnego kołnierzyka obwiązane coś w rodzaju fantastycznie wystrzępionej i niezdatnej do użytku pończochy, wykwintny i subtelnie modny tużurek, jaki wobec oberwanych krótkich majtek i rozpłaszczonych, a tak długich jak sanice kamaszków, zdaje się uniewinniać ze swej bezwłasnowolnej i przypadkowej obecności na grzbiecie wkraczającego. Stosunek tego tużurka do podziurawionego materyału, jaki otula piszczele dolnych kończyn młodzieńca — wzbudził w umyśle Wacia przypuszczenie, że ma przed sobą psychologa, już wówczas, kiedy nieznajomy po raz pierwszy zjawił się w tym lokalu.

Późniejsze, prawie codzienne konserwacye z panem potwierdziły domysł pierwotny. W rozmaitych porach dnia psycholog wkracza, rzuca się desperacko na krzesło i mówi; I teraz, ledwo zabłysnęła we dzwiach szklanna spinka jego krawata, mówi płynnie swym drewnianym i przykrym głosem, kończąc każde zdanie jakiemś kategorycznem zapytaniem. Obecność pana, jego podstępne i plugawe zapytania nie robią na Waciu wrażenia przykrego dla tego poprostu, że jest to mowa ludzka. Wstaje tedy z łóżka, przechadza się po pokoju z rękami w kieszeniach i marzy cichem, sennem marzeniem, jak wielką byłaby jego radość, gdyby zamiast pana wszedł do niego jakiś najuboższy, najprostszy człowiek, byleby tylko można było na maleńką miarę czasu oprzeć głowę na jego piersi i posłuchać, jak bije ludzkie serce.

Tymczasem pan, kończąc wykwintnie czołgany okres, mówi:

— Czy nie życzycie sobie, kolego, przeczytać cokolwiek. Ja mam ze sobą rozmaite książki, a że siedzimy razem...

Nie, panie, który nazywasz mię swym kolegą. Czytuję tylko w pewnych odstępach czasu „Dijalogi króla Salomona z Marchołtem grubym a sprośnym“ — nic nadto.

Wówczas psycholog szybko zaczyna z innej beczki. I znowu wymawia mnóstwo wyrazów i szereg ich kończy, pytając:

— Czy nie czujecie, kolego, apetytu?

— Och, nie. Sądzę jednak, że herbata nie powinna właściwie mieć smaku rosołu, otrzymanego po wygotowaniu funta używanych grzebieni gęstych, smak jej, jeżeli mię pamięć nie myli, inny jest zupełnie...

— Czyż przypuszczacie, że pamięć myli was już? — pyta psycholog badawczo.

— Bardzo być może. Pan, który badasz w skrytości serca ludzkiego, wiesz najlepiej, że myli nas wszystko. Ja jestem chory, chory — i nie pamiętam nic. Nic a nic, panie z białym nosem. Niestety! panie, który nie wiem, z jakich powodów, odmawiasz sobie przyjemności noszenia skarpetek.

— No, ale Józka, zwanego „Marginesem“, waszego kolegę uniwersyteckiego musicie pamiętać — cóż znowu? — mówi psycholog, wpijając się oczami w oczy Wacia.

(Dok. nast.) Maur. Eż.

„L'INTRUSE“ MAURYCEGO MAETERLINCKA w WIEDNIU.

Wiedeń, 8 maja 1892.

(Korespond. „Myśli“).

Przed kilkoma dniami wystawiono w Josefstadzkim teatrze obraz sceniczny Maeterlincka: „L'Intruse“. Znany poeta i publicysta niemiecki: Herman Bahr przed czterema miesiącami trzymał tu do chrztu nowonarodzone „stowarzyszenie dla życia nowoczesnego“ (Verein fuer modernes Leben), które zawiązało się na gruzach „Freie Bühne“ w tym jedynie celu, aby zapoznać wiedeńczyków z nowemi kierunkami zachodu. Towarzystwo „Freie Bühne“, które zamierzało wystawiać naturalistyczne dramata a nawet poczyniło już przygotowania do jednego takiego przedstawienia i w układy weszło z aktorami „Volksteatru“ i z dyrekcyą teatru Karola, zeszło z widowni, nic nie zdziaławszy. Najlepsze chęci rozbijają się tu w Wiedniu o apatyą publiczności, niechęć dyrektorów i krytyki. Krytyka ta choruje na uwiąd starczy; nie mogąc podołać nowym talentom téj siły, co Gerhart Hauptman regułkami, wyniesionemi ze szkoły, zarzuca im trywialność pojedynczych wyrażeń; nie mogąc publiczności wodzić dalej na pasku wychwalaniem płytkich wyrobów rzemieślników literackich, żyjących przeżuwaniem wielkich arcydzieł zeszłego wieku, a nie rozumiejących ani czasu swojego, ani dążeń i ideałów na na przyszłość, krytyka ta osłabić chce zawsze wrażenie każdego utworu nowego jakiegoś talentu zestawieniem go z Szekspirem lub Goethem. Te sztuczki lub są stare, tak zużyte a zawsze jeszcze popłacają w — Wiedniu! Nie ma dziś w Niemczech miasta większego, któreby tak było zacofane pod względem literackim.

W Wiedniu wystawić utwór symboliczny i rzucić niejako rękawicę krytyce było wielką odwagą, wystawić go zaś źle, jak w teatrze Josefstadzkim — było szaleństwem. Bahr, który przedstawienie przyprowadził do skutku, nastręczył nieszczęśliwym wyborem aktorów

---

wydobył się jęk przeciągły, jęk ulgi, jakby tchnienie człowieka, który będąc już konającym, nagle do życia powraca.

— Oto jeden nareszcie, który ma racyę!... — mruknął Chouteau.

Jednakże szedł dalej zgięty w pół pod ciężarem tornistra, ale gdy zobaczył dwóch innych, którzy to samo zrobili, nie mógł już wytrzymać.

— Niech dyabli porwą — wykrzyknął i zrzucił z ramienia tornister na skarpę rowu. — Ja mam tego dosyć!... Dwadzieścia pięć kilo na grzbiecie nosić!... Dziękuję!... Przecież się osłem nie urodziłem, żebym miał dźwigać takie ciężary!...

Prawie natychmiast Loubet naśladował go i zmusił Lapoulla, aby zrobił toż samo.... Pache, który się żegnał przed każdym krzyżem przydrożnym, spokojnie i pocichutku odpiął szelki i cały pakiet położył troskliwie pod murkiem, jak gdyby miał po niego wrócić. I Maurycy był już tylko sam jeden obciążony, gdy Jan, obejrzawszy się, zobaczył swoich ludzi bez tornistrów.

— Podnieść tornistry!... — zawołał, — ja za was odpowiadać nie będę!...

Ale ludzie, nie buntując się jeszcze, lecz tylko źli i milczący, szli naprzód ciągle, popychając przed sobą kaprala na wązkiej drożynie.

— Rozumiecie!... podnieść tornistry!... Bo złożę raport!...

Te wyrazy były jakby uderzeniem w twarz dla Maurycego. On złoży raport!... ten chłop głupi złoży raport dla tego, że ludzie nieszczęśliwi, upadający pod ciężarem, ulżyli sobie.... I w gorączce ślepej złości i on też zerwał szelki i upuścił tornister na skraju drogi, rzucając na Jana wyzywające spojrzenia.

— Dobrze! — rzekł wreszcie z całym spokojem Jan, widząc, że walki rozpoczynać nie może w tej chwili, — uregulujemy to wieczorem.

Maurycy cierpiał strasznie na nogi. Grube i twarde trzewiki żołnierskie, do których nie był przyzwyczajony, zakrwawiły mu całe pięty. Był on słabego zdrowia. Tornister pozostawił mu na plecach szerokie miejsce, palące, jakby ranę głęboką i chociaż go już rzucił, czuł go jednak jeszcze boleśnie, a ciężar karabina, który przekładał z ramienia na ramię, wystarczył na to, aby go tchu pozbawić. W każdym razie więcej jeszcze niż te fizyczne bóle, niepokoiła go ta jakaś agonia moralna, której zbliżanie się czuł i którą znał, ataków takich bowiem czasami już doznawał. Nagle, niewiadomo dla czego, bez możliwości oparcia się temu, czuł, że wola jego staje się bezwładną i ginie w zupełności i popadał w złe instynkty, dochodził do zapomnienia się, które potem gorzkiemi łzami opłakiwał. Błędy jego w Paryżu były to poprostu tylko szaleństwo tego drugiego „ja“, jak on to sam nazywał, a to jego drugie „ja“, było chłopcem bardzo słabego charakteru, który w chwilach rozluźnienia woli stawał się zdolnym do wszelkich podłości. I od chwili, gdy powłóczył nogi za sobą pod palącem słońcem, w tym odwrocie, który był bardzo do ucieczki podobny, czuł się poprostu zwierzęciem zapóźnionem, z trzody rozbieganej, pojedyncze sztuki po drodze zostawiającej. Było to niby odbicie uderzenia piorunu, który padł gdzieś daleko może o mil kilka i którego echo milknące, pędziło teraz po piętach tych ludzi, strachem przejętych i uciekających przed nieprzyjacielem, którego nawet nie widzieli. Czegóż się można teraz spodziewać?... Czyż się już wszystko nie skończyło?... Pobili nas!... teraz już tylko pozostaje położyć i umrzeć!...

(D. c. n.)

najlepszą sposobność dwudziestowierszowym recenzentom do zasądzenia już nie tylko tej sceny dramatycznej Maeterlincka, ale Maeterlincka, jako dramaturga. Wyczytaliśmy tedy o poecie, że jest wielkim lirykiem. Co takie pochwały znaczą, dawno już każdy z nas wię. Dziś wypędza się belgijskiego poetę z teatru grzecznościami i pochwałami za jego lirykę. Omawiając jakiś następny tom „Serres chaudes“ ten sam krytyk odkryje może, iż za ciasno wierszom we formie zwrotkowej, że dobrzeby było je scenicznie rozłożyć.

Maeterlinck nie jest Szekspirem belgijskim, za jakiego go głoszono, to pewna. Nie jest on potężnym rzeźbiarzem charakterów a postacie zdrowe, normalne, nigdy może mu się nie uda skreślić. Jak jego liryczne wiersze już są mistyczne, zamglone, pełne przenośni niezrozumiałych, pragnień zaziemskich, bolu transcendentalnego, tak i jego trzy utwory dramatyczne żadnej wyraźnej, pewnej siebie myśli przewodniej nie mają, w budowie i w motywowaniu wypadków są luźne i działają tylko ułamkami, błyskawicznem zamięszaniem genialnych pomysłów.

Ale Maeterlinck jest wielką indywidualnością, a choć wyrósł z kierunku literackiego, na którego wytworzenie inni już przed nim się składali we Francyi i Belgii, uchodzi on dziś za największego zastępcę tego kierunku i wypada się nad nim zastanowić — a nie, jak to w Wiedniu uczyniono, przejść nad nim do porządku dziennego.

Czegoż chce ta szkoła, zowiąca się symbolistyczną a wywodząca swój ród i początek od Baudelaire'a, Barbeya d'Aureville, Edgara Poego, Alfreda de Vigny, Rabelaisa, a nawet Szekspira i mistyków średniowiecznych?

Opis najdokładniejszy, analiza najścíślejsza nie starczy więcej. Ani naturalizm przedmiotowy Zoli i Goncourtów, ani podmiotowy Bourgeta i Barresa nie zadawala już. Artyzm dla artyzmu, malowanie rzeczywistości dla zabawy czytających zarówno, jak i tworzących, wyklina się dziś.

Dwa wielkie kierunki walczą w literaturze o pierwszeństwo i następstwo po zapadającym w mgłę niepamięci naturalizmie. Jeden kierunek dąży do wprowadzenia altruistycznych idei do literatury, jest to kierunek optymistyczny radośny, bo zupełnie nowy i jak każdy nowy kierunek reprezentowany przez ludzi nierozczarowanych jeszcze, wierzących w przyszłość i w tryumf swoich idei. Dla autorów tego kierunku, sztuka wszelka jest tylko środkiem, jest jednym z czynników podnoszenia ludzi do coraz wyższych szczebli i to nie tylko w pojęciach ich estetycznych, ale i w e t y c z n y c h ich pragnieniach i ideałach. Że takie pojęcie poezyi nie musi koniecznie — jak tego zacietrzewieni estetycy dowieść usiłują — prowadzić do obniżenia jej wartości, za przykład posłużyć mogą: „Dziady“ „Kordyan“ „Przedświt“, Satyry Heinego i t. d.

Drugi kierunek zwraca się do indywidualności pojedynczej a wyczerpawszy wszystkie środki zajmywania czytelnika pięknością opisu, dokładnością rozbioru szuka teraz nad grobem naturalizmu rozpaczliwie nowych jakichś wrażeń i sensacyi. Oto geneza najnowszej egzotyczności w literaturze całej prawie Europy w najrozmaitszych mniej lub więcej uwagi godnych przejawach. Jeden system filozofii upadał po drugim i wyklęto metafizykę, ale nie zabito ciekawości metafizycznej. Jedna szkoła poetyczna powstawała po drugiej w ciągu naszego wieku i wyklęto fantazyą z dzieł poetycznych, ale nie zabito jej w czytelnikach. Znużeni jednostajną szarą rzeczywistością ludzie ci, co literaturę uważają za przedmiot li tylko rozkoszy umysłowej, zapragnęli odmiany. I znaleźli się autorzy, co ją dają. Życie jasne, ograniczone jest już ze wszech stron pojęte, opisane, trzeba tedy sięgnąć zagranice naszego poznania trzeba dotknąć zagadki wszechbytu, trzeba czytelnika ukołysać w ten stan rozpaczliwego rozmyślania o kresach wiedzy i kresach istnienia, napełnić jego ucho muzyką brzmień niezwykłych, oczarować oczy bogactwem barw i świateł, szmaragdową zielenią drzew w blaskach sennego miesiąca połyskującą, więdnącą czerwienią kwiatów wonnych usychających w skwar południowy. Opisy zarzuca się w tej poezyi; wywołać nastrój jest najwyższem jej zadaniem. Użyje ona do tego wszystkich środków, muzykalności stylu, antytez, wrażających się w umysł czytelnika, gry słów i wyrażeń wykopanych z dawnych zapomnianych dzieł.

Życie i wszystko, co w życiu się dzieje, każde zdarzenie i każdy widok natury jest tylko symbolem! Prawdziwego zaczenia tych zdarzeń, tych obrazów natury nie możemy odgadnąć, ale zachodzi między naturą a człowiekiem jakieś tajemne powinowactwo, nasze myśli są tylko cząstką wszechducha. Ten mistyczny panteizm jest ojcem chrzestnym symbolicznej poezyi.

Jakiś ból nad znikomością naszego bytu, nad ograniczeniem naszego poznania, ból pokrewny do Weltschmerzu Werterowskiego, przenika wszystkie kreacye tej szkoły. I Maeterlinck także kadzidła pali bożyszczom rozpaczy.

Aby jego dzieła z pewnem zajęciem czytać, trzeba się do nich ukołysać w tę wrażliwość, jakiej od czytelników żąda, rozstroić się na tę nerwowość, która jest warunkiem upodobania sobie w utworach symbolicznych.

Podnosił to Hermann Bahr w swoim wykładzie przed odegraniem „L'Intruse“. Ale trudno nastroić się wedle życzeń chwilowych w teatrze. Dramaty, zwracające się do nastroju publiczności, rzadko tedy powodzenie mieć będą a symboliczna poezya prawdziwie wielkiego dramatu nigdy nie wyda, choćby i kierunek ten w rzeczy samej miał potrwać czas jakiś w literaturze.

Na czytelniku liryczny a choćby dramatyczny poemat tego kierunku zawsze jeszcze większe wywrze wrażenie. Czytając L'Intruse odkryłem też wiele piękności, które wystawienie przytłumiło.

Sama treść utworu skazuje go na wystawienie w sali mniejszej (nie teatralnej, z galeryami, trzypiętrowej) i przez aktorów, z których każdy byłby artystą w oddawaniu najgłębszych dźwięków ludzkiego uczucia od prostego zaniepokojenia aż do trwogi śmiertelnej. Takich artystów niema, a razem sześciu takich aktorów nie uda się zapewne nigdy zebrać!

Dokoła stołu w sali starożytnego zamku siedzi rodzina: dziadek ojciec, trzy córki i stryj. Rozmawiają o chorej po połogu pani domu i jej dziecku, które jakby z wosku było, od kilku tygodni po urodzeniu nie ozwało się jeszcze. Matka ciężko, niebezpiecznie była chorą, dziś po raz pierwszy lepiej jej, lekarze dają nadzieję, że wyzdrowieje.

Ale stary dziadek ma jakieś niemiłe przeczucia; duszno mu, każe okno otworzyć, słychać śpiew słowików, księżyc kładzie się snopem promieni po chodnikach wysypanych piaskiem w ogrodzie, lekki powiewa na dworze wietrzyk. Nagle śpiew słowików ucichł, dziadek pierwszy to zauważył. Ktoś musiał wejść do ogrodu. Wnuczka patrzy przez okno, ale nie dostrzega nikogo; a przecież ktoś wszedł, bo ryby w stawie ogrodu zanurzyły się w wodzie, łabędzie popłynęły na drugi brzeg, jakby je ktoś spłoszył, słowiki ucichły a jeden ptak usiadł na wierzbie płaczącej i oto teraz wzleciał.

Dziadek niepokoi się coraz bardziej... nagle słyszy brzęk jakby ostrzenia kosy; zapewnie ogrodnik przyszedł trawę kosić, nie można go wprawdzie widzieć, bo trzyma się on blisko domu, około którego trawa wysoka wzrosła i cień go zasłania i słychać chrzęst jakby trawy koszonej. Daremnie usiłują uspokoić starca. Zasypia on na chwil kilka a rodzina krytycznie rozbiera dziwactwa jego, tłumacząc je wiekiem i upadkiem sił umysłowych. Wybicie godziny na zegarze budzi go. Czy ktoś nie wszedł tu do pokoju? zdaje mu się, że ktoś u dzwi stoi. Ten ślepy widzi oczyma duszy, zdaje mu się ciągle, że coś strasznego nadchodzi! Ależ nie ma nikogo; miała przyjść szwagrowa chorej — nie przyszła.

Dziadek z trwogą pyta, czy nie przychodzi ona teraz właśnie! Nadstawiają uszy i słyszą kroki po wschodach, potém wszystko cichnie znowu. Ktoś niewątpliwie wszedł. Dzwoni się na służącą. Teraz dziadek słyszy dwie osoby, wstępujące po wschodach. Ale wchodzi tylko służąca. Zapewne się mu tylko zdawało. Służąca jest tak ociężałą, jej kroki mogły mu się w uchu zdwajać! Robi więc jej wymówki, dla czego tak ciężko stąpa! Ona jednak zapewnia, że szła bardzo cicho!

Zimno robi się w pokoju, córki próbują zamknąć drzwi otwarte napół i nie mogą. Coś między skrzydłami leży zapewne, to od wilgoci pochodzi, jutro przyjdzie stolarz, to drzwi naprawi; ma on jutro w domu robotę. Żeby tylko nie stukał, dziadek się tego stuku tak boi, powie mu się, żeby cicho pracował w piwnicy.

Ściemnia się w pokoju, lampa nie dobrze się pali a dostrzega to znowu dziadek. Boi się on znowu czegoś. Ktoś tu wszedł, ktoś z nami do stołu siadł. „Nie ukrywajcie mi prawdy, wy mi coś kryjecie, tu się coś strasznego dzieje. „On się boi, trwoży, o gdyby córkę mógł widzieć, kiedy ją wczoraj ostatni raz widział, dotykał jej kosteczek w twarzy; biedna córka! Teraz lekarze zakazali ją widzieć, potrzebuje spoczynku. A i on sam nie ma odwagi widzieć jej teraz. Później, później!

Bije dwunasta. Ktoś wstał ze stołu, słychać szmer, jakby podnoszącej się osoby. A ciemno w pokoju od niejakiego czasu, lampa zgasła. Cóż to, cóż to? W tém drzwi od pokoju chorej otwierają się, wchodzi zakonnica, która przy niej czuwała i w świetle, które na ciemną scenę pada z oświeconego rzęsiście przyległego pokoju, robi znak krzyża i z niemym wyrazem rozpaczy bez słów przynosi wiadomość, że chora umarła. Od pokoju dziecka rozlega się płacz, pierwszy głos jego od czasu narodzin, płacz w chwili skonu matki. Wszyscy rzucają się do pokoju zmarłej. Dziadek zostaje u stołu i podnosząc się, nie wiedząc jeszcze nic o katastrofie niemo zaanonsowanej, wykrzykuje: „Czemu mnie opuścili, czemu mnie opuścili.“

Oto w krótkich słowach treść sztuki. Aby scena mogła zrobić na nas wrażenie, aby nam suggerowała niejako trwogę przed śmier-

cią, wkradającą się (l'intruse) do domu, na to potrzeba było odmalować stopniującą się, pod wrażeniem wypowiadanych obaw dziadka, trwogę całej rodziny. Otóż poniekąd, ale tylko poniekąd odpowiedział Maeterlinck swemu zadaniu. Córki trwożą się od początku samego, jako młode dziewczęta, ojciec bardzo długo, za długo wyśmiewa obawy dziadka a stryja krytycyzm opuszcza dopiero w ostatniej chwili. Jeśli mamy poddawać się wrażeniom mistycznym, tedy nie wolno nam przypominać ciągle, że są one złudne.

Poeta chciał widocznie oddać dwa oddzielne sposoby myślenia i roztoczył całą skalę pośredniczących nastrojów między trwogą przeczucia katastrofy a zimnym rozsądkiem, głuchym na wszystkie mistyczne głosy przyrody. W teatrze psuje ten podział wrażenie, niszczy całą ideę sztuki, przy lekturze fantazya czytelnika pokryć może te braki, osłabiając cyniczne uwagi krytycznego stryja, nie zważając na nie. Aktor, który tego stryja grał, nie rozumiał sztuki i popsuł do reszty, swojem hałaśliwem protestowaniem, wrażenie.

A w końcu pytam: co za znaczenie ma ten mistycyzm? Może być, że Maeterlinck wczytawszy się w mistyków średniowiecznych sam wierzy w swoje mistyczne rojenia, choć mnie się zdaje, że i u niego samego mistycyzm więcej jest poezyą, niż wiarą — ale co za znaczenie ma mistycyzm dla czytelników, widzów teatralnych? Nic innego, jak czar nowości, pociągający ekscentrycznością i zagadkowością! Ale i to się przeżyje a szybciej, niżby się kto spodziewał.

Maeterlinck dziś ma znaczenie a człowiek, który zająć potrafi społeczeństwo, choćby krótki czas, wart jest uwagi i zastanowienia bliższego, bo z niego powziąć można o tem społeczeństwie wyobrażenie.

Jest to literatura nerwów! Obyśmy ją czem prędzej pogrzebali — a u nas oby najmniej znalazła naśladowców i miłośników.

Dr. Henryk Monat.

PIĘĆ WIECZORÓW.

STUDYUM Z NATURY

CEZAREGO JELLENTY.

(Dokończenie).

Lutek. Na miłość Boga, uspokój się!... Przecie sama pamięć tego wstydu nie będzie ci dawać później spokoju... (Potrząsa żałośnie głową). I gdzież ta twoja okrzyczana siła woli?... Dla pierwszej lepszej kokoszki łzy wylewać?... No, chodźmy... dosyć już... aj, biedaku, biedaku... tak się upadlać dobrowolnie, tak nisko upaść... (Idą zwolna pod rękę. Wacław łka po cichu, ale stopniowo uspakaja się).

. . . .

Gdy minęli okna p. Pawłostwa, Wacław nieśmiało ogląda się wstecz: na ciemnej wielkiej sylwecie gmachu, wyższego od sąsiednich, płoną same jedne miękiem, niebieskawem światłem dwa podłużne czworokąty okien, zasłoniętych koronkową kotarą...

Wacław (chwyta się nagle za serce i, jakgdyby wsłuchany we własny ból, zwalnia kroku). Ty sssamico!... Ciebie kochać, to świniom perły rzucać...

Lutek. Ee... przesadzasz... zabierz się do niej teraz... może ci się poszczęści... stawka warta gry. Ja na twojem miejscu przeczekałbym spokojnie miodowy miesiąc, a potem zaraz do dzieła. To byłaby zemsta najlepsza...

Wacław. Nie wiesz, co między nami kiedyś było... Ona i tego nie warta.

Lutek. Ale co tu wszelkie teorye... Praktyka to grunt... (długa chwila milczenia, potem przygląda się Wacławowi, który skurczył się cały i po uszy wtulił w kołnierz palta). Jezus Marya!... Jezus Marya!... Co ona z tego człowieka zrobiła!... (potrząsa z politowaniem głową — nagle zrywa się i chwyta w pół słaniającego się Wacława, któremu ręce zwisły bezwładnie a cylinder spadł na bruk). Wacku! Błagam cię, zapanuj nad sobą! Wacku! (ściska go mocno). Ja tu jestem przy tobie, ja twój wierny Lutek!... W imię Ojca i Syna!... (trzyma go silnie w objęciach i całuje w bladą, oblaną potem skroń). Wacku najdroższy!! I czegom ja, u licha, pozwolił mu wałęsać się tutaj... (Wstrząsa jego korpusem, nad którym głowa chwieje się bezwładnie, lewą ręką usiłuje podnieść z ziemi kapelusz, wkłada go byle jak na głowę Wacławowi i zaczyna wlec go, zataczając się to w jednę to w drugą stronę... Po chwili zziajany staje, rozgląda się w lewo i w prawo i woła z całych sił:) Sanki! Sanki! (z rozpaczą w głosie) Sanki!..

Powoli, ciężkim krokiem, opatulony jak przedtem, zbliża się stróż nocny.

Lutek (szybko). Mój przyjacielu, dam wam, co chcecie, a sprowadźcie mi co żywo sanki lub dorożkę... ten pan, widzicie oto, zasłabł nagle... (Ciało Wacława wyślizguje się z pod ramienia Lutka i pada bokiem na bruk) Sanki! Sanki!! (klęka nad Wacławem, grudkami śniegu rozciera czoło, na które z oczów klęczącego padają zrzadka ciężkie krople łez).

LISTY PARYSKIE.

(Kor. wł. „Myśli.")

Nowe kierunki w dramacie francuskim.

(Dokończenie).

I.

Pisarze, znaczący zwrot ku technice misteryjno-średniowiecznej, nie mają, zdaje się, przed sobą wielkiej przyszłości. Jeśli kto z biegiem lat okrzesał się z dawnych wad i usterek, nie będzie ich znowu brał na siebie. Jeśli dramat z niepokaźnej misteryi, z wierszowanej opowieści biblijnej rozwinął się w potężny, duszą wstrząsający utwór sztuki ludzkiej, już żadne wysiłki nie strącą go do jaseł ani królów Herodów. To minęło, przeszło, — technika dramatu może tylko postępować, nie cofać się.

Wśród cofających się dadzą się zaznaczyć trzy odmiany. Jedni biorą tylko tematy z lat dziecięcych sztuki dramatycznej, inni łączą z tem technikę, inni nareszcie ubierają je w sympatye dla wieków katolicyzmu i pierwotności. Z pierwszych zasługuje na uwagę Grandmougin, który w teatrze Alcazar wystawia swą sztukę „Chrystus". Chrystus przebywa wszystkie męki, umiera na krzyżu i nareszcie po śmierci, kiedy niewiasty idą do jego grobu, zjawia im się w obłokach. W innym teatrze: d'Application (teatrze Wpraw) grają podobną sztukę „Passion" (Pasye). Że te sztuki bawią publiczność, świadczy to po pierwsze o znudzeniu jej komedyjkami burżuazyjnemi, po drugie może także o ożywionej w ostatnich czasach śród niej agitacyi katolickiej. Kongres katolików w Mélines wyklął teatr, lecz jeśli ten teatr daje sztuki święte, piękno klątwy można zeń zdjąć.

Maurycy Boudior należy do drugich. Tematy jego są średniowieczne: „Legenda o św. Cecylii", „Ofiara świętemu Antoniemu", ale nadto przedstawianie takie jak w pierwszych okresach sztuki. Na scenie nie ma osób, ruszają się tylko maryonetki z drzewa, głosy zaś dochodzą z za sceny. Jest to oryginalne, ale czy piękne, wątpię.

Trzecią odmianę spotykamy głównie w t. z. teatrze symbolistycznym, gdzie przedstawiają od dwóch czy trzech miesięcy sztukę „D'Ailleurs" (Zkądinąd). W dwudziestu dwóch obrazach przesuwają się przed nami wszystkie plagi wieków spółczesnych, wszystkie piękności i powaby wieków średnich. Obserwujemy tu wnikanie przebijających się w powieści i poezyi prądów symbolistycznych w dramat.

Czwarty kierunek najsympatyczniejszy, w oczach rośnie w siłę. Dramat powinien mieć wpływ społeczny: przedstawiać postacie wzniosłe i budzące do nich sympatye, wpajać w nas idee, zasady, przesuwać przed naszemi oczami obrazy czarne i smutne spółczesnego ustroju i zarazem pobudzać do refleksyi nad nim — jest jego zadaniem. Nie potrzeba tu koniecznie tendencyi, wystarcza odpowiedne przedstawienie. Od przedstawienia zależy wrażenie, wywarte na widzów i czytelników.

Rozpoczął się on od wprowadzenia dramatów Ibsena. Ibsen uchodzi za przedstawiciela liberalizmu, lecz musimy zauważyć, że liberalizmu Ibsena nie należy zlewać z zdyskredytowanym liberalizmem politycznym. Ów liberalizm Ibsenowski powinniśmy nazwać raczej wolnomyślnością. Gdyby myśli wyrażane przezeń przyjęły się już były dotąd wśród społeczeństwa, mielibyśmy poglądy u większości ludzi o wiele postępowsze. Dążności więc do wprowadzenia jego do Francyi, świadczą o podnoszeniu się tam idei społecznej. Ibsen został prawie cały przetłómaczony na język francuski, przedstawienie jego „Heddy Gabler" nie powiodło się wprawdzie, ale należy to zawdzięczyć gnuśnej przedmowie krytyka Lemaitre'a, który, wykładając o Heddzie przed przedstawieniem, powiedział, że Ibsen uląkł się swych dawnych „rozszalałych" (!) postaci kobiecych, i stworzył ich karykaturę... Że jednak kiedyś publiczność Ibsena zrozumie, jest rzeczą pewną.

Drugą próbą uspołecznienia dramatu jest utwór dramatyczny, przedstawiany w prywatnym teatrzyku anarchistycznym. Donosiło o nim w listopadzie „Figaro", nie podając jednak miejsca, gdzie grano ten dramat. Sam sobą może on uchodzić tylko za jedną z pierwszych prób sympatycznego przedstawiania (!) działaczy społecznych — pod względem artystycznym, zdaje się, nie przedstawiał on wielkiej wartości, nie dziw zresztą, bo napisał go robotnik. Ale to autorstwo ludowe świadczy samo o zapotrzebowaniu lepszego dramatu. Bohaterem tego utworu był robotnik, który okaleczony w fabryce, zaciągnął się do szeregów rewolucyi, próbował wykonać zamach i zginął przy jego wykonaniu.

Wstrząsającym nareszcie do głębi duszy był przedstawiony w Odeonie dramat Edmunda Goncourta: „Germinie Lacerteux". Nakre-

ślony genialną ręką, przedstawiał on spowodowany nieszczęśliwą miłością upadek kobiety. Dziewczyna wiejska, Germinia, szczera i dobra najgorszego, najnikczemniejszego kocha włóczęgę, Jupillona. On wyrywa jej ostatnie pieniądze, aby zadowolnić jego potrzeby, ona kradnie, nareszcie z rozpaczy, widząc, że on ani myśli jej kochać i że wala się po szynkach, stacza się w upust prostytucyi. Straszną jest scena śmierci Germinii; jej pani, która ją kocha jak córkę za jej dobroć i przywiązanie, jakie okazywała przez cały ciąg służby u niej, przychodzi do niej dodając biednej otuchy, pocieszając że będzie zdrowa. Ale w Germinii już życie słabym płonie płomykiem, tylko rozpacz szarpie jej serce, że tak smutne było jej życie, że jedną tylko znalazła dobrą istotę, gdy inne truły ją i zabijały. Budzą się wtedy myśli, dla czego ta Germinia nie natrafiła na dobrych ludzi, dla czego zetknęła się z wyrzutkami, dla czego to zetknięcie zepchnęło ją w przepaść. Gdyby była znalazła się dusza, coby ją podniosła, czy byłaby umarła w hańbie? A gdyby ustrój był lepszy, gdyby nie strącał wielką część ludzkości w otchłań zbrodni, czy byłaby znalazła takiego Jupillona? Nie, stanowczo nie.

Pierwszego maja nareszcie ma otworzyć się nowy teatr, teatr społeczny. Wydane przez jego założycieli zapowiedzenie, zawiera to, co mniej-więcej w kilkunastu ostatnich wierszach powiedziałem. Sztuka musi być społeczna, jeśli ma oddziaływać, teatr jest biblią mas, niech te masy zdrowy i prawdą zaprawiony znajdują w niej pokarm duchowy. Nie ogłoszono jeszcze tytułu sztuki przeznaczonej na pierwszego maja, ale jest już pewnem, że od maja teatr społeczny będzie funkcyonować tak jak teatr wolny, a jest nadzieja, że droga jego, choć z początku cierniem ścielona, później roztoczy się w szeroki, zielenią ubrany szlak.

W. Bugiel.

TRAGEDYA LUDZKOŚCI.

(Emeryka Madacha.)

(Ciąg dalszy).

W tem wpada tłum, wiodąc nowe ofiary, a Ewa ginie przed oczyma Dantona, pchnięta sztyletem w serce przez jakiegoś fanatyka. Zjawia się jednak wkrótce w nowej postaci jako megera rewolucyjna. Adam-Danton spostrzega ze zdumieniem dziwne podobieństwo tej tygrysicy z zabitą przed oka mgnieniem markizą.

Tamta o całe niebo od niego wyższa, dzięki swej anielskiej czystości; przed tą, acz tak podobną, sam się cofa obrzydzeniem przejęty. Gilotyna uwalnia go od uścisków hyeny. Saint-Juste i Robespierre każą mu ginąć na tym samym szafocie, na którym przed chwilą jeszcze ścinano jego przeciwników.

Nie zapominajmy jednak, że to tylko sen wieszczy Keplera, sen, który mimo tragicznego swego końca, budzi w uczonym żal, iż tej wizyi tak daleko jeszcze do spełnienia. Pragnie on ujrzeć „świat, który szybko musi nastać, świat, w którym rozbrzmi wolne słowo prawdy".

Jak-gdyby dla ironii przenosi go wówczas Lucyfer na bastion Towru, do Londynu gdzie pełnem bije tętnem życie kupieckie, życie w całem tego słowa znaczeniu nowoczesne, świetne z wierzchu, ale niejedną zgniliznę kryjące wewnątrz. Odnośna scena (XI) jest sama w sobie skończonym dramacikiem, pełnym życia i prawdy, ironii i pesymizmu. Roi się ona od kramarzy, fabrykantów, robotników, żołnierzy, studentów i cyganów. Cała akcya wykazuje Adamowi, że świat kramarskich aspiracyj, daleki jest od jego ideału. W tym świecie pozornie tak jasnym, tyle mroków rozlega się dokoła! Czarny cień rzuca za sobą kwestya socyalna, a Ewa, tym razem córka mieszczańska, ku której niepoprawny Adam znowu skierowuje swe afekta, nie umie swym urokiem rozpędzić owych cieni, bo jest tylko wzorem bezdusznego konwenansu.

Pod koniec wizya przybiera mistyczny charakter. Ze szczytu bastionu Adam w towarzystwie Lucyfera patrzy na mrowisko ludzkie i w smutną pogrąża się zadumę:

Cóż to za walka, w której jeden staje
Od stóp do głowy uzbrojon, naprzeciw
Innych, bezbronnych i nagich do ciała?
Gdzież niezawisłość, skoro owe tłumy
Nędznie głodową śmiercią zginąć muszą,
Lub kark swój nagiąć pod jarzmo jednostki?
To chyba walka psów o kości kawał!
Takiego pragnę zespolenia ludu,
Gdzieby nie kara była, lecz ochrona,
Otucha raczej niż groza, i gdzieby
Tak jak nauka wymaga, działano,
Zdając na rozum wszech spraw kierownictwo.

Tymczasem wieczór zapada. Cały jarmark zmienia się w gromadę ludzi, którzy z pośpiechem jeden wielki grób kopią, a wykopawszy tańczą dokoła niego, rzucając się na końcu kolejno w rozwartą czeluść. Jedynie Ewa nie ginie w tej olbrzymiej, wspólnej mogile.

Próżno mnie porwać pragniesz czarny grobie.
Czyż nie podobna w twoją otchłań nie paść?
Tylko proch ziemski należy się tobie;
Zwycięską stopą ja przekroczę przepaść.
Miłość, poezya, młodość, jak świetlane
Anioły znów mnie do życia powiodą —
I znów z uśmiechem wobec świata stanę
By mu nieść w darze rozkosz wiecznie młodą.

(Rzucając płaszcz swój i zasłonę w dół grobowy unosi się w górę).

LUCYFER.

Czy cię Adamie blask jej nie olśniewa?
Czy nie poznajesz jej?

ADAM.

Ach, Ewa, Ewa!

Idealny falanster stanowi tło sceny następnej (XII). Ludzkość urzeczywistniła w nim rojenia swe o socyalnem zrównaniu wszystkich jednostek. Ojczyzna, własność, rodzina tam nie istnieją wcale. Świat stał się jedną wielką fabryką. Mędrzec, oprowadzający Adama i Lucyfera, objaśnia im urządzenie falanstera, niedostępnego pięknu i uczuciom indywidualnym. Adam ze zdumieniem spostrzega, że to, co fantazya przedstawiała mu w tak pięknych barwach, w rzeczywistości przedstawia się wcale nie ponętnie.

....Chcesz-li walczyć,
A spojrzysz w koło po tym świecie reguł,
Braknie ci nawet czaru niebezpieczeństw.
W lasach na pokaz nie ma dzikich zwierząt —
Więc i nauka zawód mi sprawiła!
Chciałem świat zmienić w eden, ale-m zgoła
Zbłądził: to-ć istna tu freblowska szkoła!

Falanster staje się nietylko monotonnym, lecz — co gorsze — śmiesznym w scenie, w której Luter zostaje obłożony postem, gdyż zbyt silnie rozgrzał kocieł, — Kasjusz, ponieważ kłótnię rozpoczął, a Plato klęcząc na grochu pokutuje za to, ponieważ nie dopilnował bydła. Nie brak jednak i tragicznych momentów. Ewa, jako matka, nie chce oddać ogółowi dziecka, które wykarmiła własną swą piersią. Adam staje po jej stronie, oświadcza, iż bierze ją za żonę, ale nic to nie pomaga. Mędrzec z falansteru oświadcza mu, iż byłoby grzechem zezwolić na małżeństwo marzyciela z kobietą nerwową; potomstwo ich musiałoby być chorowite. Opór ze strony Adama smutnie się kończy, bo nakazem oddania go, jako szaleńca, do szpitala obłąkanych. Na szczęście Lucyfer wyprowadza swego pupila w porę, a cała zmora falansteru znika jak mgła wichrem rozwiana.

Fantastyczny żywioł wzmaga się ku końcowi poematu coraz bardziej. Adam przeniesiony zostaje w próżnię kosmiczną. W niezmierzonej oddali widnieje kula ziemska, malejąca aż do drobnego świetlanego punktu, jak inne gwiazdy. Zmrok przechodzi zwolna w zupełną ciemność.

„Oto masz — woła szyderczo Lucyfer, wiodący Adama — owe wyższe sfery, skąd jak sądziłeś, dochodził cię na ziemi słodki szept pokrewnych duchów".

Adam żałuje swego odlotu. Cała barwność i rozmaitość przyrody ziemskiej zlała się w jeden punkt w przestrzeni. „Znikła także jej wielkość i siła — dodaje Lucyfer — została jeno czysta matematyka". Rozpaczliwe myśli miotają pielgrzymem, który na ziemi pragnął oderwać się od niej, a teraz żałuje tego po niewczasie.

Za nami gwiazdy w dali się schowały,
Celu ni przeszkód wzrok tu nie dostrzeże;
Ach, bez miłości, bez walki — byt cały
Jakąż ma wartość, powiedz Lucyferze?

A jednak, gdy Lucyfer chce sprowadzić go znowu na ziemię, skoro mu tak miło „bawić się w piasku". Adam nie daje sobie nawet mówić o tem. „Naprzód!" to jego hasło. Siły go opadają, oddechu mu braknie, duch ziemi zaś przestrzega zuchwalca, iż jeszcze krok dalej, a czeka go zagłada. Próżne groźby!

Twojem zaprawdę ciało, co mnie gniecie,
Lecz dusza moją. Myśl i prawda przecie
Są nieskończone i dawniej istniały
Niż świat materyi!

DUCH ZIEMI.

Człowieku zuchwały!
Ciężka pokuta gmach złud twoich zburzy...
Czyliż woń mogła być prędzej od róży?
. . . .
Wróć się, czas jeszcze... Bóg ścierpieć nie zdoła
Abyś ziemskiego przekroczył krąg koła,
Abyś w pobliże jego wdarł się...

Nie bacząc na tę przestrogę, Adam pędzi dalej — i z okrzykiem przerażenia w chwilę potem pada nieżywy. Za takiego przynajmniej uważa go Lucyfer, gdy odtrąca martwego towarzysza ze słowami:

....Więc przecie kłam dawny
Odniósł zwycięstwo. Niech te strzępy bóstwa
W przestrzeni krążą odtąd nieustannie
Jako planeta nowy... Może na nim
Nowe wnet życie plonem zejdzie dla mnie.

Tym razem jednak i duch ciemności dał

się porwać złudzie. Duch ziemi przekonywa go o tem.

Przedwczesny tryumf twój, o Lucyferze,
On tylko dotknął obcych sfer... Zaprawdę,
Nie łatwo z mego państwa się wyłamać.

(Do Adama)
Synu mój, woła ciebie głos ojcowski,
Synu mój, zbudź się!

ADAM (odzyskując przytomność).
Żyję więc na nowo!
Żyję, bo cierpię...

„I cierpieć chcę“ możnaby dodać, Adam bowiem, postanawia wrócić na ziemię. Drwi Lucyfer z jego nieugaszonej żądzy życia. „Miałżebyś jeszcze ciągle nadzieję na osiągnięcie celu?“ pyta. Odpowiedź Adama opiewa:

Czy mam nadzieję? Mam, choć nie za wiele...
Sto razy jeszcze pójdę błędną drogą...
Lecz czemże dla mnie osiągnięte cele?
Czyż obok walki istnieć one mogą?
Walka zaś życiem... Cel śmierci się równa.
Walka to cel mój, to bytu myśl główna.
Sprowadź mnie na dół napowrót do świata...
Czem też znów w przyszłe rozgoreję lata,
O jakim nowym zamarzę problemie
Z sercem nadziei pełnem?

LUCYFER.
Więc na ziemię!

(Dok. n.) St. Rossowski.

LISTY DO REDAKCYI.

Od p. K. Bartoszewicza otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Wdzięczny za przypomnienie mej skromnej działalności literackiej i za niezasłużone pochwały, które uważam za wypływ osobistej dla mnie sympatyi szanownego autora mojego życiorysu (bodaj mu Bóg nie pamiętał, że zrobił mnie jubilatem) — upraszam o łaskawe sprostowanie paru szczegółów mylnie podanych, a mianowicie:

a) nie pisałem o „szlachcie polskiej“, ale o „tytułach w Polsce“;

b) nie otrzymałem żadnego listu zbiorowego od literatów warszawskich po napisaniu „Kandydata na radcę“, a tylko dwa listy od Edwarda Lubowskiego i Włodz. Stebelskiego;

c) jubileuszu A. Bełcikowskiego nie urządzałem, a tylko dałem do niego inicyatywę.

Z prawdziwym szacunkiem

K. Bartoszewicz.

* * *

Otrzymujemy z poważnej strony następujące pismo:

„Nowy teatr krakowski jest prawie na ukończeniu. Nietylko pod względem architektonicznym odpowiada on wszelkim, najwybredniejszym wymaganiom, ale także ornamentacyą bogatą, a lekką i nadzwyczajnie gustowną nie ustępuje miejsca zagranicznym przybytkom sztuki. Zwłaszcza foyer ozdobnie przybrany sztukateryami oraz eleganckie ornamentacye amfiteatru i pięknie malowany plafon — prawdziwą nowego gmachu są ozdobą. Jedna tylko w całości tej spostrzegać się daje luka, nie harmonizująca z otoczeniem. Ściany lóż, mianowicie ze względów oszczędnościowych, mają być tylko zdobione sztukateryami. O ileżby jednak było właściwiej i z duchem czci dla naszych nieśmiertelnych autorów zgodniej, gdyby na lożach widniały wyrzeźbione w portretach rysy tych, co sztukę polską stworzyli i swym talentem ją na dzisiejsze wyżyny wznieśli. To też, jak dowiadujemy się z kompetentnego źródła, ofiarność publiczna, zamierza koszta tego niezbędnego wydatku pokryć. Kilku obywateli, owianych duchem prawdziwie patryotycznej ofiarności, złożyło już podobno na ten cel znaczniejsze kwoty, a nie wątpimy, że myśl ta, tak dobrze poczęta, zainteresuje szersze koła i konkretną przybierze postać“.

W. Ż.

(Zdanie naszego Sz. korespondenta w zupełności podzielamy, żywiąc niepłonną nadzieję, że znajdzie ono sympatyczny oddźwięk wśród naszego społeczeństwa. *Przyp. Red.*).

MISCELANEA.

*** Nakładem naszym wyszła z pod prasy broszura pt.: „Kazimierz Bartoszewicz“ przez Józefa Bornszteina, zawierająca znacznie uzupełnioną sylwetę znakomitego pisarza, który w r. b. obchodzi 25-lecie swej literackiej działalności.

*** Sprawa budowy nowego teatru w Krakowie posuwa się raźno naprzód. Obecnie robotęześrodkowano około ornamentacyi sali widzów. Wkrótce umieścimy osobny artykuł, dla zapoznania naszych czytelników ze stanem robót około nowego przybytku sztuki w Krakowie, dziś zaś ograniczymy się na wzmiance, że Rada miejska uchwaliła większością głosów zburzyć ruderę, znajdującą się na placu św. Ducha (dawniejszy szpital) — czemu sprzeciwiali się konserwatorowie — i powierzyła malowanie dekoracyj firmie wiedeńskiej Burgharta. Wobec tego, że panowie znawcy popierają system pachtu przeciw umiastowieniu teatru — akcye Gliksonowskie poszły znacznie w górę na giełdzie krakowskiej. Kontrkandydatem p. Gliksona jest — p. Tadeusz Pawlikowski, syn zasłużonego pisarza i redaktora „N. Reformy“. Niebawem zastanowimy się obszerniej nad kwalifikacyami obydwu pretendentów do berła dyrektorskiego.

*** Najnowsze powieści Elizy Orzeszkowej: (której wyczerpującą sylwetkę literacką pomieściła „Myśl“ w r. u) „Westalka“ i „Bene nati“, znalazły już tłómaczów na język niemiecki.

*** Najnowszy dramat St. hr. Rzewuskiego pt.: „Justicier“, przedstawiony na scenie teatru Ambigu w Paryżu, doznał tam powodzenia. W sztuce tej dopatruje się krytyka zespolenia (!) realizmu z mistycyzmem. „Figaro“, zamieszczając sylwetkę autora „Chorych dzieci“, donosi, że hr. Rzewuski ukończył dwa nowe dramata: „Tatison“ i „Napoleon I“.

*** Znana literatka pani Malwina Pozner (Garfein) przetłómaczyła głośną powieść Suttnerowej pt.: „Waffen nieder!“ (Precz z bronią!).

*** W teatrze krakowskim występuje gościnnie znakomita artystka teatrów warszawskich: Helena Marcello, która grała dotąd Klarę w „Właścicielu Kuźnic“ i „Hrabinę Sarę“ Ohneta. P. M. ukaże się jeszcze na naszej scenie, jako Ada w „Końcu Sodomy“ Sudermana i Cypryanna w „Rozwiedźmy się“. Grę Marcellówny, obdarzonej iskrzącym się talentem, charakteryzuje: rzadki temperament, inteligencya, wspaniała dykcya i doskonałe opracowanie ról. Gościna artystki tej miary stanowi dla miłośników teatru prawdziwą biesiadę, zwłaszcza w Krakowie, gdzie dyrekcya przez cały sezon karmiła publiczność farsidłami i melodramatami.

*** W ostatnim numerze „Kraju“ petersburskiego znajdujemy świetnie przez Kaz. Bartoszewicza nakreśloną sylwetkę wielce utalentowanego poety, St. Rossowskiego, naszego stałego współpracownika.

*** W ostatnim zeszycie „Ateneum“ znajdujemy studyum p. Ignacego Suessera: „O Hermanie Sudermanie“. P. Suesser, którego pracę o literaturze skandynawskiej drukowaliśmy w „Myśli“, poddaje sumiennej krytyce powieściowe utwory autora „Kumy — troski“ oraz dwa jego dramaty: „Honor“ i „Koniec Sodomy“.

*** Verdi opracował już partyturę swej nowej opery pt.: „Falstaff“. Składa się ona z 3 aktów i 6 obrazów. Pierwsze przedstawienie „Falstaffa“ odbędzie się w „La Scala“.

*** Teatr letni w Warszawie wystawił z powodzeniem dramat A. Konara (Kinderfreunda) pt.: „Bankruci“. Jest to przeróbka z powieści pod tymże tytułem.

*** W paryskim teatrze „Libre“ grano sztukę pt.: „Simonne“ L. Grammont'a, w której wystąpiła pani G. Śnieżko-Zapolska wysoce utalentowana artystka i literatka. Pani Z. odtworzyła postać księżnej rumuńskiej Danesco. Akcent cudzoziemski nie psuł gry, przeciwnie podnosił urok drażniącej kokieteryi. P. Zapolska odniosła prawdziwy sukces. Dzienniki („Figaro“, „Rappél“, „Evenement“) nazywają autorkę „Małaszki“ nową gwiazdą artystyczną na firmamencie teatru Libre. Słyszeliśmy, że p. Zapolska zamierza wkrótce udać się do Londynu, gdzie również ukaże się publiczności w jednym z poważniejszych teatrów, na jesieni zaś zaprezentuje się Paryżowi, w roli Nory. („Nora“ Ibsena).

*** Prof. Małecki mianowany został doktorem praw Wszechnicy lwowskiej *honoris causa*.

*** Tygodnik paryski *La curiosité Universelle* pomieszcza obecnie „Słownik artystów wszystkich czasów i wszelkich narodów“. Spotykamy tam również nazwiska polskie, zaopatrzone w nader niedokładne wzmianki bibliograficzne.

*** Druk listów o wystawie muzyczno-teatralnej w Wiedniu, otwartej 7 b. m. rozpoczniemy w następnym numerze *Myśli*.

*** **Nekrologia.**

† Ludwik Wiesiołowski, zdolny artysta-malarz i pedagog zmarł w Warszawie. Wiesiołowski w ciągu lat pięciu stworzył szereg cennych prac, jak „Chrystus i jawnogrzesznica“, „Jałmużna w klasztorze“, „Stary Rzym“ i w. i.

† Nikodem Biernacki, głośny w swoim czasie skrzypek, zmarł w Sanoku.

† August Wilhelm v. Hoffman, profesor uniwersytetu berlińskiego, znany chemik, zmarł w Berlinie.

OD REDAKCYI.

Do następnego nr. „Myśli“ dołączymy pełny arkusz powieści Kiellanda pt.: „Śnieg“. Zwykłego dodatku nie dajemy obecnie, z powodu słabości tłómacza powieści.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.

Zarzuty, czynione duchowieństwu francuskiemu, że jest ciemne, że ciemnotę wśród mas szerzy, że pała nienawiścią do wszystkiego, co nowożytne — nie są bezpodstawne.

Ciekawe uwagi poświęca tej kwestyi w swej broszurze p. Jaluzot. Otóż publicysta ten twierdzi, że gdy przyszły duchowny angielski, niemiecki lub austryacki kształci się w uniwersytetach, pośród inteligentnej młodzieży, słucha wykładów najwybitniejszych profesorów i zaznajamia się z prądami wieku — to przeciwnie, ksiądz francuski jest prostym chłopem od dzieciństwa więzionym w seminaryum, gdzie oddycha atmosferą średniowiecznych czasów. Nieodpowiednie wykształcenie księży francuskich nie jest jedynym tematem głośnej broszury Jaluzota. Mówi on jeszcze o reformie uniwersyteckiej we Francyi. Życie umysłowe po dziśdzień koncentruje się tam wyłącznie w Paryżu, prowincya zaś nie miała żadnych ognisk oświaty, bo za takie fakultety uważane być nie mogą. Chodzi więc o założenie uniwersytetów prowincyonalnych, któreby właśnie były takiemi rozsadnikami oświaty i skupiały koło siebie siły intelektualne. Dziś już znajdujemy po prowincyach francuskich wybitne jednostki, proponujące decentralizacyą wyższego kształcenia, że wspomnimy tylko prof. Bernheima z Nancy, (którego szkołę przeciwstawiają „Szkole paryskiej“) lub Karola Gide'a, ekonomistę.

Rządowy projekt decentralizacyi napotkał w senacie gorącą opozycyę Challemal-Lacoura, który wystąpił w obronie systemu francuskiego przeciw proponowanemu „niemieckiemu.“ Senat odesłał projekt do komisyi. —

I tak więc jedno ze związkowych państw „trójprzymierza“ stanęło nad przepaścią, ku której popchnęło je wybujałe dążenie — nie powiemy narodu lecz niektórych jednostek — do spotęgowania siły militarnej kraju. Włochy, które od zjednoczenia dopiero w roku 1875 zdołały jako tako połatać swój budżet i nawet doprowadzić go do nadwyżki, w 8 lat później, po latach dla państwa kwitnących, hazardownie puściwszy się na flukta polityki wielkomocarstwowej, straciły wszystkie swe dochody, obciążyły swój budżet olbrzymio, tak, że rok zeszły wykazał już 20 mil. deficytu. Sumy te pochłonęło wojsko i marynarka. Dziś Włochy rozporządzają 20 korpusami, kadrami, komendami i sztabami, nieposlednią mają też marynarkę, ale w skarbie — ani lira.

Upadł Crispi przez traktaty, upadł także Rudini, gdyż niechcąc usunąć się z rujnującego kraj-przymierza, wyczerpywał skarb do ostatka i upaść musi każdy gabinet w tych stosunkach nienormalnych. Ciekawą jest rzeczą, jak ułożą się stosunki w tem biednem państwie, tj. czy Włochy nie zrezygnują dobrowolnie ze swych 20 korpusów i wtedy odżyją finansowo, czy też wodzone na pasku Niemiec rujnować się będą dalej na armię, aż wysilenie to skończy się upadkiem już nie gabinetu ale państwa. Z. P.

Treść Numeru:

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcyi).

W szeregu krakowskich zakładów meblowych, magazyn pod firmą Stachowski i Kiełpiński w Krakowie, ulica Sławkowska L. 1 wyróżnia się od innych doborem towaru, jakością takowego i przystępnemi cenami. Magazyn ten jest obficie zaopatrzony w meble stylowe, fantazyjne i we wszelkie potrzeby dekoracyjne salonów.

Fabryka pp. Stachowskiego i Kiełpińskiego, zatrudniając kilkudziesięciu robotników, fachowo uzdolnionych, może dać swym odbiorcom tylko z najlepszego materyału i najlepiej zrobione meble, czego dowodem, że całe umeblowanie mieszkania prof. Obalińskiego wyszło z pracowni wymienionej, a jest ono tak wspaniale odrobione, tak gustownie dobrane, że ci, którzy umeblowanie to widzieli, nie chcieli wierzyć, że z podobnej ono wyszło fabryki. Dlatego też polecamy gorąco wszystkim interesowanym magazyn mebli i zakład tapicersko-dekoracyjny pp. Stachowskiego i Kiełpińskiego.

WIELKI WYBÓR BIŻUTERYJ

z prawdziwych amieni szlachetnych

moldawitów, granatów, topazów, malachitów, ametystów i t. d.

w Agencyi czeskiej F. HOFMANNA

w Krakowie, ulica Grodzka, naprzeciw Magistratu.

Wykonanie gustowne. Ceny niskie.

Objąłem Zakład Dentystyczny

po ś. p. Docencie K. Goeblu

w Krakowie, przy Placu WW. Świętych Nr. 10, 1. piętro.

Oddział techniczny zostaje pod kierunkiem p. **LEMPARTA**, długoletniego zastępcy ś. p. Docenta K. Goebla w czasie jego słabości. Operacye wykonywa na żądanie przy znieczuleniu.

Dr. med. Jan Starachowicz dentysta.

Zakład tapicersko-dekoracyjny

i Magazyn Mebli

w Krakowie, ulica Sławkowska, L. 1.

Polecamy nasz obficie zaopatrzony magazyn w **meble stylowe i fantazyjne** do salonów, pokoi sypialnych i jadalnych buduarów, gabinetów, bibliotek i t. p.

Pokrycia meblowe z pierwszych fabryk krajowych i zagranicznych, materye jedwabne, wełniane, plusze, aksamity, kretony i inne fantazyjne.

Portrety, firanki, story do okien, dywany, łóżka żelazne, łóżeczka dziecinne, kolebki, wkłady do łóżek, materace, kołdry, koce, pledy podróżne, poduszki, parawany, japońskie ekraniki, hafty, makaty, wazony i wszelkie inne przybory dekoracyjne.

Podejmuje się **wszelkich urządzeń apartamentów od najwykwintniejszych do zupełnie skromnych umeblowań, jakoteż pokrywania i przerabiania mebli i materacy, szpanowania, dekorowania i tapetowania pokoi, zakładania firanek, dywanów.** oraz wszelkich innych dekoracyi.

Przez powiększenie naszego magazynu mamy **duży wybór mebli i umeblowań** zupełnie wykończonych, tak, że u nas rzeczy zamówione zawsze w oznaczonym czasie dostarczone być mogą.

Przez długoletnią praktykę zagraniczną i wyrobienie stosunków z pierwszemi domami fabrycznemi, możemy zadowolnić Szanowną Publiczność tak pod względem starannego wykonania i dobroci materyału, jakoteż cen i gustu.

Cieszące się dotąd licznemi uznaniami ze strony naszej Klienteli, polecamy się i nadal łaskawym względom Szanownej Publiczności.

Stachowski i Kiełpiński.

Wszystkim P. T. Inserentom, którym zależy na możliwie największem rozpowszechnieniu ich ogłoszeń w Galicyi i w Krakowie, polecamy wychodzący od lat jedenastu dziennik

»NOWA REFORMA«

organ narodowego stronnictwa postępowego i demokratycznego.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych.

„NOWA REFORMA“ chociaż istnieje dopiero lat 11, mimoto należy do najpoczytniejszych ze wszystkich wychodzących w Galicyi polskich dzienników i jest **najwięcej rozpowszechnioną** w kołach mieszczańskich, inteligencyi i rolników. **Prenumerata** „NOWEJ REFORMY“ wynosi:

	rocznie	półrocznie	kwartalnie	miesięcznie
Na prowincyi z przesyłką pocztową	24 złr.	12 złr.	6 złr.	2.— złr.
W Państwie niemieckiem	28 „	14 „	7 „	2.50 „
W miejscu	20 „	10 „	5 „	1.80 „
Do Włoch, Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi, Turcyi itd. .	32 „	16 „	8 „	3.— „

Pojedynczy numer kosztuje 10 cent., z przesyłką pocztową 12 cent.

Cena inseratów: Wiersz jednołamowy, drobnem pismem (petitem) za pierwszy raz po **10** cent., za następny raz po 5 ct. Przy większych i częstszych ogłoszeniach odstępuje się odpowiedni rabat. Załączniki do „NOWEJ REFORMY“ (prospekta, cyrkularze, ogłoszenia i t. p.) przyjmuje się za cenę **1** złr. od 100 egzemplarzy dla zamiejscowych, **50** cnt. od 100 egzempl. dla miejscowych prenumeratorów. Należytość uprasza się **naprzód** nadesłać przekazem pocztowym. **Numera okazowe wysyla się na żądanie darmo i oplatnie.**

Adres Redakcyi i Admnistracyi: **Kraków, ulica św. Jana Nr. 13.**



Największy wybór

Fortepianów, Pianin i Harmonij

w Składzie

J. M. KORDECKIEGO

w Krakowie, ulica św. Anny, dawniej Hotel Victoria.

Sprzedaż zamienna. — wynajem.

JAN KOLIJEWICZ



Rusznikarz

i znawca sądowy

w Krakowie

ul. Floryańska l. 55, dom WPana Kulczyńskiego

Przyjmuje zamówienia na broń różnych systemów, przerabia strzelby kapslowe na wszelkie inne systemy, uskutecznia reperacye, dorabia osady. **Posiada na składzie pałasze do szermierki. Oczyszcza rewolwery.** Wszystko spiesznie i po cenach umiarkowanych. Wysyłki załatwiam jaknajspieszniej pocztą. Ręcząc za dokładne wykonanie robót, polecam się Sz. P. T. Publiczności.

Na wystawach krajowych

najwyższemi nagrodami odznaczony

ZAKŁAD

WYROBÓW OBUWIA

G. WERNERA

w Krakowie, ulica Szewska Nr. 16

poleca:

wszelkiego rodzaju **obuwie męzkie** jak i **damskie** — podług najświeższych fasonów. Zakład wyrabia również tak zw. **obuwie racyonalne**, zastosowane do wymagań hygieny. Na żądanie uskutecznia takowe podług **gipsowych odlewów** zdjętych z nogi.

W powyższym Zakładzie dostać można wszelkich przyborów do konserwowania obuwia.

IZYDOR WOHL

we Lwowie, ulica Sykstuska L. 6

poleca Szanownej P. T. Publiczności swój

wyłączny skład

HERBATY ROSYJSKIEJ.

Kaysew	doskonała, czarna . .	1/2 kilo	Złr.	1·60
	„ melange .	„	„	1·80
Suszong	wyborna	„	„	2·—
	najlepsza	„	„	3·—
Melange	karawanowa	„	„	4·—
Fu-czu Fu	Nr. I.	„	„	3·20
	„ II.	„	„	4·60
	„ III.	„	„	5·—
K. & S. Popow	funt 1 rs. 60 kop . .			2·40
	„ 2 „ — „ . .			3·—
	„ 3 „ 50 „ . .			3·75
Wysiewki	wyborna : . . .	1/2 kilo	Złr.	1·60
	H. prima	„	„	1·80
	non plus ultra . .	„	„	2·50

Łaskawe zlecenia odwrotną pocztą.

Opakowanie franko, kupcom rabat.

Dra Rosa'ego Balsam życia

jest środkiem domowym łagodnie i skutecznie działającym, od przeszło lat 30 znanym, przywracającym trawienie, apetyt i usuwającym wzdęcie.

Wielka flaszka 1 złr., mała 50 ct., pocztą 20 ct. więcej.

Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną marką ochronną, uwidocznioną obok.

Poleca się również:

„Praską Uniwersalną Maść Domową“.

Takowa okazała się po wielu doświadczeniach jako skuteczny środek przy czyszczeniu, gojeniu bolących miejsc i działa przytem uśmierzająco i rozwalniająco.

W dozach po 35 i 25 ct., pocztą 6 ct. więcej.

Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną marką ochronną, uwidocznioną obok.

Skład główny:

B. FRAGNER, PRAG

Nr. 203-204, Kleinseite, apt. pod czarnym orłem.

Przesyłka pocztowa codziennie.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**